WILKOŃSKI

PISMA

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił;
— Raz tylko jeden na mojém niebie
Promyk radości jasno się lśnił.

PISMA

AUGUSTA WILKOŃSKIEGO

Tom I.

WYDAWCA
ADAM KACZURBA W KRAKOWIE

KRAKÓW
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „BIBLIOTEKI ARCYDZIEŁ".
1888.

123418

W Krakowie — Czcionkami drukarni J. Fischera. — 1888.

OD WYDAWCY.

„Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec".
Juliusz Słowacki.

Książka w Polsce doznawała rozmaitych losów.

Kiedy z trudnością rozbudzono cokolwiek zamiłowanie do czytania, książka padła ofiarą spekulacyi, jak każdy nowy towar. Powstał silny monopol. I w czasie, kiedy w innych krajach książka stała się taką potrzebą dla umysłu warstw wszystkich, jak powietrze dla płuc, w Polsce przez długi czas była jeszcze zbytkiem. — Wydawcy monopoliści trzymali się zasady, że kto ma pieniądze, ten niech kupuje i czyta, a kto niema, niech się obejdzie. Mimo to wołali, że się poświęcają, napełniając kiesę, a często nawet panegiriki pisać sobie kazali za ich działalność dla oświaty.

Wskutek nieprzystępnej ceny książki, wcisnęli się wydawcy niemieccy, zarzucając książkami i broszurami niemieckiemi o podejrzanej wartości całą Galicyę, w czem

niektóre księgarnie wielkie usługi Niemcom oddają. — W takich warunkach rozpoczęliśmy przed siedmiu laty z pomocą zacnych współobywateli, wydawnictwo pod tyt:

„Biblioteka arcydzieł polskich i obcych".

Celem głównym tego wydawnictwa było, uprzystępnić każdą piękną i wartościową książkę dla ogółu i to w taki sposób, aby nawet najbiedniejsi z inteligencyi, jak n. p. nauczyciele ludowi, mogli posiadać własny zbiorek.

Ponieważ na ogłoszeniu nadmieniliśmy, że najtańsze wydawnictwo polskie, zaraz też przyjęli obyczaj monopoliści i zaczęli także drogie książki najtańszemi tytułować.

Jednakże mimo rozmaitych przeciwności, mimo straszliwych gróźb i intryg z ich strony, mimo paszkwilów umieszczanych w niektórych pismach, zawsze gotowych do podobnych usług (rozumie się że za pieniądze), udało nam się w przeciągu 6 lat wydać kilkadziesiąt najcenniejszych dzieł w cenie o $^3/_4$ tańszéj od dotychczasowéj.

Za **4 złr.** rocznie dostarczaliśmy abonentom naszym 120 arkuszy wielkiéj ósemki, stron 2000 na pięknym papierze, pięknym i czytelnym drukiem, najcelniejszych dzieł, które dla swej pięknéj i głębokiej treści, powinny się znajdować w każdym domu polskim.

Dzieła te są następujące:

	Złr. ct.
Dwory Polskie, 2 tomy Gołębiowskiego	2·—
Lud polski, 2 tomy „	2·—
Pojata córka Lezdejki, powieść, **4 tomy** Bernatowicza	1·40

	Złr. ct.
Jan Sobieski i jego dwór, powieść, 5 t. Bronikowskiego	2·50
Elekcya, powieść Bronikowskiego	—·30
Opis obyczajów w Polsce za Augusta III., 2 tomy Kitowicza	1·50
Pamiętniki do panowania Augusta III i Stanisława Augusta, 3 tomy Kitowicza	2·70
Przypadek na odpuście, Kamińskiego	—·50
Krakowiacy i Górale, „	—·50
Dworzec mego dziadka, Morawskiego	—·50
Monachomachia, Krasickiego	—·15
Okolice Krakowa, Wężyka	—·30
Rewizor z Petersburga czyli podróż bez pieniędzy, Gogola	—·35
Grenadyer filozof, Godebskiego	—·30
Don Juan Poznański, Berwińskiego	—·20
O Literaturze w XIX wieku, Mochnackiego	—·90
Pamiętniki polskie do r. 1830, Bronikowskiego 650 str.	2·50
Pamiętniki Józefa Wybickiego	1·20
Dzieje teatru narodowego, Bogusławskiego	1·—
Śmierć Iwana Groźnego, Tołstoja	1·—
Wieczory Pielgrzyma, 2 tomy Witwickiego, str. 650 .	2·50
Listy z zagranicy, Witwickiego	2·50
Księga złotych myśli, ...	—·25
Pan Dezydery Boczko, Gaszyńskiego	—·30
Pamiętniki czasów moich, Niemcewicza *Pamiętniki Kwestarza*, Chodźki *Poezye Bajrona i Getego*, } wyczerpane	
Poezye Garczyńskiego *Poezye Wasilewskiego* } ozdobne w angielskie płótno odpowiednie na upominki	1·— 1·—
Antologia poetów polskich, p. t. „Niezapominajki“ . .	1·—
Suma	26·85

Listy pieniężne i przekazy pocztowe należy nadsyłać pod adresem:

Adam Kaczurba
wydawca Biblioteki w Krakowie.

Czytelniom i pp. nauczycielom ludowym dzieła wyżej podane, odstępujemy za połowę ceny.

OPRAWIONE OZDOBNIE.

najpoprawniejsze wydanie dzieł:

	Zł. ct.	Mrk.
Juljusza Słowackiego, 6 tomów . . .	**3·—**	**(6)**
Najznakomitszego humorysty polskiego, pisma Augusta Wilkońskiego 6 tomów	**2·50**	**(5)**

DZIEŁA ADAMA MICKIEWICZA (w druku).

Będzie to wydanie najkompletniejsze najpoprawniejsze i najtańsze. Oprócz kompletnych poezyj, pomieszczone będą: *Konfederaci Barscy, Jasiński, Księgi Pielgrzymstwa, Mazur* i inne zupełnie nieznane urywki.

Druk ukończony zostanie 1-go listopada 1887 r.

Przedpłata na całe dzieło oprawne ozdobnie wynosi **2 Złr. 50 ct.** i trwa tylko do 1-go listopada b. r.

PRZEDMOWA.

— Co jest przedmowa?...

— Jest to obmowa czy obmówienie a raczéj omówienie dzieła.

Gdy autor nie ufa, aby bez pomocy rzecz zrozumiano, natenczas przed rozpoczęciem dzieła objaśnia, przysposabia niedołężnego czytelnika, czyli omawia dzieło swoje — gdy twierdzi, że jego poprzednicy w tymże samym przedmiocie pisali niedokładnie i mylnie, a zapewnia, że on pisał dokładnie i bez pomyłki, także dzieło swoje obmawia; — gdyż znów poczuwa się do niedokładności a uniewinnia się ze spodziewanych zarzutów, również dzieło obmawia.

Taka gadanina jest po największej części bezużyteczna a zawsze nudna, — przewlekłością zaś staje się niecierpliwiącą i przypomina koncertanta, który na scenie stroi instrument. Ale nierównie nudniejszą jest sprawa, gdy autor do omówienia dzieła dołączy wprost pochwalne a bezpośrednie omówienie swojéj osoby, n. p.:

— Że ogromne pokonywał przeszkody; że nie zaspokojenie miłości własnéj, ale wyłącznie dobro ogółu było jego jedynym celem;

— albo że nigdyby pracy swojéj światu nie ogłaszał, lecz gwałtowne nalegania przyjaciół zmusiły go do wynurzenia się z ukrycia;

— albo gdy oświadcza, że mając nieco czasu i nieco usposobienia, wolne od obowiązków chwile poświęca, niby to z wielkiéj łaski, na użytek powszechny;

— albo gdy czyni najczulsze (a najpocieszniejsze) pożegnanie z najmilszą, z najukochańszą książeczką swoją, którą nazywa swojém najdroższém dziecięciem, skarbem, klejnotkiem i t. d...

Cóż więc rzeczywiście jest przedmowa?...

— Jest to przysionek książki, w którym autor jeży czuprynę (a jeżeli nie ma czupryny?... — w takim przypadku gładzi łysinę), poprawia kołnierzyki, ogląda swoje ubranie; puszy się i nadyma, albo łasi się i pokorzy przed wystąpieniem na scenę publicznego objawu.

Mamże więc pisać do moich Ramotek przedmowę?...

— Obejdzie się najzupełniéj. — Ależ ja w ogłoszeniach na przedpłatę oddawna przyrzekłem przedmowę, a nawet walną przedmowę. — Rób jak Ci się podoba. — Już wiem co począć, aby był wilk syty i koza cała, — to com napisał o przedmowach, niechaj posłuży za przedmowę, a że krótka, tém samém jest walna, — czego nikt z rozsądnych literatów nie zaprzeczy.

Głos pierwszy do Czytelników.

O wy duszy mojéj najmilsze perełki! Czytelnicy! wy, którzy mnie w życiu autora od największéj uwalniacie boleści, pozwólcie przedewszystkiém, niechaj was uściskam i ucałuję, niechaj się z Wami popieszczę, niechaj Was do serca mojego przytulę, niechaj Was łzami przywiązania i miłości zroszę, pokropię i obleję.

1) Przybliż się do mnie łysy filozofie, — bliżéj, — bliżéj — daję Ci błogosławieństwo na drogę badań: przeczytaj z uwagą 6 tomów moich Ramot i Ramotek, a niezawodnie schwycisz wiedzę, widzę i — um.

2) Przybliż się ogorzały rolniku, klęknij i odbierz moje błogosławieństwo, a pojmiesz, że jak jesteś pierwszém ogniwem życia narodu, tak starać się winieneś, abyś nie był ostatniém w życiu umysłowém; niechaj Cię nie sama Ceres, ale i Minerwa promieniem łaski swojéj ogrzewa; — bądź reprezentantem uczuć najszlachetniejszych, bądź filarem cnót narodowych, bo jesteś sercem narodu.

3) Przybliż się do mnie osiwiały prawniku! daję Ci błogosławieństwo na drogę sprawiedliwości, — niechaj Cię Jehowa strzeże od matactwa i krętaniny, czytaj moje Ramoty i Ramotki, znajdziesz homeopatyczne ale niesfałszowane krople prawdy.

4) Chodźcie tutaj przemysłowcy — odpocznijcie po waszych uczciwych zabiegach i niecnych

szachrajstwach, klęknijcie na grochu i na tatarce, bo dużo jest grzechu w życiu waszém. Chuć pieniężna obsiadła serca wasze, zanieczyściła umysł, ztąd największą część swoich uczuć daliście na lichwę złota. W V-tym tomie moich Ramotek sprawię wam łaźnię, tom I i II przeczytajcie dla rozrywki.

5) Płci piękna! proszę, bardzo proszę — niechaj Aśćki będą łaskawe bliżéj przystąpić. Oczki na dół, usteczka na sznurek, rączki na krzyż. — O! tak pięknie. Cóż Aśćki chcą?... romansu?... hę?... W I i w II tomie bardzo mało romansu, w następnych będzie więcéj. Czytajcie tymczasem co jest, nie zapomniałem i o was gołąbki.

6) Kawalerowie! marsz! marsz!... Stój! równaj się, oczy na prawo, nosy na dół... uszy do góry!

Mości balbierzu do apelu.

— Lala?! — jest.

Wiercipięta?! — jest.

Lampart?! — jest.

Dandy?! — jest.

Pływacz vel kłamca?! — jest.

Opryszek?! — jest.

Lew?! — jest.

Długouchy?! — jest.

Nie brakuje żadnego, idźcie na kwatery i czytajcie moje Ramoty i Ramotki.

Dzieci, po cóż się ciśniecie?... w cielęta nigdy nie orzą, — nie dla was Ramoty, — ruszajcie do gramatyki.

Głos drugi do Czytelników.

Praca naukowa stała się w XIX stuleciu najznakomitszym, najpierwszym zaszczytem człowieka, ale wtenczas tylko, gdy się objawia czynem, gdy ją oddajemy w życie narodu; — to zaś, co Łacinnicy wyrzekli: *„et voluisse sat est“* żadnéj dzisiaj nie ma wartości, — i chociażby najcnotliwsza chęć, gdy w sercu jest zamknięta, chociażby najwznioślejsze pomysły, gdy je w milczącym mózgu więzimy — mówiąc utartym wyrazem — psu na budę się nie zdadzą.

Tą prawdą przenikniony zamierzyłem pisać, — ale co pisać?... i jak pisać?... trafiłem na miejscowy sęk, szczególniejszej twardości. Złożywszy naradę z mém sercem i z mym rozumem, postanowiłem pisać to, co czuję, i pisać tak, jak umiem. Co do pierwszego — jestem w najzupełniejszéj zgodzie z mojém sumieniem; co do drugiego, zaklinam się na Minerwę, że chciałem pisać rozumnie; ale cóż, kiedy umysł mój zbyt często zmuszonym był odrywać się do walki zewnętrznej, a w takich przypadkach na sposobną chwilę czychające głupstwo, skwapliwie zakradło się do mojego pióra, i tak się starannie ukryło, żem go dotychczas wyśledzić nie zdołał. Otóż więc, Czytelnicy, gdy głupstwo w mych pismach napotkacie, proszę was i błagam,— bez żółci, bez gniewu, niech każdy w swoim egzemplarzu głupstwo ołówkiem wykreśli, a będzie miał

egzemplarz bez głupstwa, i może go powtórnie z niezmąconym pożytkiem odczytać. Czy zaś wszystko jest głupstwem, co się każdemu z was głupstwem wydawać będzie, to znów inne pytanie, na które ja odpowiadać nie myślę, bobym Was może obraził, a to byłoby niewdzięcznie. Niemniéj przeto objawię, co ja w książce głupstwem być sądzę:

a) gdy ogłaszane myśli są o tyle z prawdą niezgodne, że stają się zasadom moralności przeciwne;

b) gdy autora nikt zrozumieć nie może;

c) gdy piszący obrał przedmiot za granicą swoich wiadomości;

d) gdy obrazowanie jest sprośném;

e) gdy ramotka jest bez żadnego celu.

Tych to zarzutów uniknąć pragnąłem, mniéj bacząc na inne. Otóż i koniec drugiego głosu do Czytelników.

Do panów Krytyków.

Jest bardzo wielu u nas ludzi, którzy nie pojmują żadnych dobrodziejstw krytyki, którzy w krytyce nie widzą nic więcej jak nałogową złośliwość, którzy się brzydzą i krytyką i krytykami; — są to Osły przez wielkie O. — Podług mojego zdania, krytyka jest słońcem, pod którego promie-

niami podłe zielsko usycha, a użyteczne ziarno najpomyślniéj wzrasta: jest najpierwszym warunkiem umysłowego życia, a w swoich skutkach zbawieniem człowieka. — Nie szukając zbyt odległéj starożytności, popatrzmy się na te wieki średnie, dzisiaj jeszcze przez zardzewiałe głowy tak bardzo chwalone, — ileż tam przesądów, nikczemnych śmieszności i zbrodni istniało?... i któż ten wielki gmach podkopał?... kto zwołał tysiące rąk do obalenia potwornego kolosu?... zaprawdę była to krytyka. — To wszystko czém się w XIX stuleciu sprawiedliwie chlubimy, jest dziełem krytyki. Należy się więc najgłębsze uszanowanie krytyce. Odmienną nieco jest sprawa krytyków, bo pomiędzy kapłanów prawdy namieszało się mnóstwo niepoświęconych laików, co fuszerską praktyką kalają boskie posłannictwo jenialnych mężów. Wpośród nas niestety! z latarnią szukaj krytyka zasługującego na to wielkie imię, — natomiast partaczy frymarczących słowami nagany lub słodkiéj jak miód pochwały, znajdziesz na tuziny, na kopy, na setki, — i o mało, że nie na tysiące; — zarozumiałych marzycieli jest pełno, rozumnych myślicieli nie wielu; — sprawiedliwych sędziów na palcach policzysz i jeszcze ci kilka próżnych zostanie; szarlatanów — nie obdzieliłbyś siercią z największego wielbłąda.

Dotąd mówiłem w ogólności, a teraz mówić będę w szczególności o tak nazwanéj krytyce literackiéj i o tak nazwanych krytykach literackich.

Krytykę literacką dzielę na dwa główne rodzaje:

na podmiotową
i na przedmiotową.

Krytyka podmiotowa, a takiéj jest najwięcéj, traktuje o formie, o akcyi, o tle, o kolorycie, o romantyczności, o klasycyzmie, o węzłach, o intrydze i o efekcie.

Krytyka przedmiotowa, a takiéj jest bardzo mało, bada ducha, śledzi logikę i szuka celu książki.

Krytycy podmiotowi, którzy wzięli za hasło bajać jak *Piekarski na mękach,* dadzą się tylko uszykować albo alfabetycznie, albo podług starszeństwa wieku, lub też podług prowincyi, — gdyż co do pojęcia, od r. 1832 żaden żadnego nie prześcignął. Aby się nie przestraszyć zbyt długim szeregiem, policzmy ich na prowincye. Od którychże więc zacząć?... Jakoś Małopolska, Litwa i Żmudź razem się cisną pod pióro, Ukraina i Wołyń na całe gardło wrzeszczą o pierwszeństwo; Galicya i Kraków, niechcą być ostatniemi, a moi Wielkopolanie także się sierdzą — trudna rada! nie wiem jak sobie począć?...

No, wiecie co? już was ani podług prowincyi, ani podług jeneralnego alfabetu, ani podług starszeństwa wieku wymieniać nie będę; *lecz rączka rączkę myje,* wy także Piekarscy nie bajajcie nic złego o moich Ramotach i Ramotkach. Bez waszéj pomocy wiem dobrze, że w moich Ramotkach wiele

podmiotowych bąków nastrzelałem, ale *sza, ani mrumru* o tém; — chcecie koniecznie bajać, to bajcie pochwały, tylko nie skąpo, po bratersku, całą gębą, pełném piórem; a jeśli się który z przedmiotowych krytyków z naganą odezwie, czego się w najlepszéj wierze nie spodziewam, w takim nadzwyczajnym przypadku, krzyknijcie razem «to zazdrość! to intryga! to potwarz: Au: Wi: był jeniuszem! jest jeniuszem i będzie jeniuszem! Au: Wi: jest oryginalnym, wielkim, najznakomitszym, niezrównanym, *ludowym* pisarzem!» Możecie nawet dodać: „*nieśmiertelnym*“. Tak! tak! krzyczcie, że jestem nieśmiertelny!... Ach Boże! co to za rozkosz być jeniuszem nieśmiertelnym!... Wiecież wy, co to jest jeniusz nieśmiertelny?!... hę?... nie wiecie?... ja także nie wiem, ale mniejsza o to, czy wiemy, czy nie wiemy, dosyć że tych przedmiotowców zarzucicie czapkami, — hu! — górą *Piekarscy.*

Do Najszanowniejszych Prenumeratorów.

Ile razy zdarzyło mi się napotkać spis prenumeratorów na czele, lub co gorsza na plecach dzieła, zawsze byłem ciekawy dowiedzieć się, jaki cel w drukowaniu tego spisu uczony autor założył?... bo przypuścić nie mogłem, aby to czynił dla zwiększenia objętości materyalnéj tylko. — Jeżeli przez ogłoszenie pięciozłotowych nazwisk z imio-

nami, z tytułami, zamierzył swoim niejako chlebodawcom wdzięczność okazać, należało coś do nich przemówić — np.: «O! wy! którzy przez namowy, przez nalegania, przez stosunki pokrewieństwa, powinowactwa, przyjaźni i znajomości, daliście po 5 lub po 10 złotówek na papier i druk mojego dzieła, niechaj wam w tém doczesném i w przyszłém życiu, — *„rajskie świece świecą“* — albo: «O wy! posrebrzane filary kwestującej literatury, bądźcie łaskawi przyjąć drukowany hołd rozczulonego autora» i t. p. Ale zacząć od Adama, a skończyć na Zenonie, nie rzekłszy do nich ani słowa, w tém zaprawdę żadnego *sensu* nie znajduję.

Nadto rozumiem, że każde dzieło drukuje się albo celem wyłonienia myśli filozoficznych, albo dla objawu uczuć sentymentalnych, albo na melancholiczno-praktyczny użytek, lub też nakoniec dla rozweselenia skłopotanych animuszów, a nigdy dla zaznajamiania z literami nazwisk osób, czytelnikowi po największéj części zupełnie obojętnych. — Cóż dopiéro za przysługa, gdy umieszczą nazwiska, na jakie ja przed 18 laty w spisie prenumeratorów na jakąś okropną trajedyą nieszczęśliwie napotkałem, to jest na jakiegoś pana Witalisa Rozszczęszczypczykoczykowskiego A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R. i na jakąś Rulikuligulipulikowikiewiczównę sędziankę. Bóg łaskaw, żem sobie przy pierwszem nazwisku języka zębami nie skaleczył, a przy drugiém nie przewrócił, a com sobie głowy nałamał nad owemi pojedyńczemi lite-

rami «A. E. R. G. G. S. K. M. Z. P. R.», aby się dowiedzieć, jaką to godność pan Witalis Rozszczęszczypczykoczykowski piastuje?... Byłem wówczas młody, a więc ciekawy, pomnę że trzy noce nie spałem, jednakże do dziś dnia nie wiem, co ten alfabet znaczy. W innym zaś spisie prenumeratorów, czytając:

Myks, b. urzędnik komory pogranicznéj.
Buch, b. kapitan artylleryi.
Psik, artysta dramatyczny.

Mniemałem, że autor ze mnie żartuje, ztąd obrażony, dzieło jego rzuciłem na stronę.

Najszanowniejsi prenumeratorowie Ramot i Ramotek Literackich, — ani nazwisk, ani imion, ani tytułów waszych nie wymienię, bo sądzę, że z wyższych pobudek pospieszyliście z przedpłatą na druk oryginalnie po polsku napisanych książeczek — z pobudek szlachetniejszych, aniżeli jest chęć widzenia swojego nazwiska gołosłownego, drukowanego na bibule, zabierającego bezpożytecznie, miejsce wyrazom myśli, wyrazom uczuć, spostrzeżeń, nauki lub rozrywki. *Z uczucia obowiązków* wspierać piśmiennictwo krajowe, bez chęci błyszczenia pieniężném nazwiskiem, jak było zawsze, chociaż i w najszczuplejszéj możności zakresie, sprawą poczciwą tak obecnie jest najpierwszą, — dlatego oddaję wam cześć i przyrzekam, że w późniejszych moich pracach będę pilniejszym, a więc użyteczniejszym.

CIENIOM TEGO MĘŻA

KTÓRY ATRAMENT VEL INKAUST WYNALAZŁ

PIERWSZY ODDZIAŁ MOICH RAMOTEK

w dowód wdzięcznego uwielbienia poświęcam

Au. Wi.

WSPOMNIENIE SZKOLNE.

«Co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole»! — Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnéj trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkiém mieliśmy poszanowaniu owe głębokiéj myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem — przed dwudziestu laty, za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawił.

Byłem dopiéro w klasie trzeciéj, oddziale pierwszym, gdy przybył z Gietyngi, (nie pamiętam czy doktor filozofii czy nie doktor — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi profesorami), pan Berendt, i objął katedrę literatury niemieckiéj w gimnazyum poznańskiém. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionéj postaci nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamaszy

sięgających po kolana, było na każdéj nodze 7 dużych stalowych guzików, mówię wyraźnie siedm, bom je nie raz rachował przemyśliwając, jakimby to sposobem kilka oberznąć; — zdawało mi się, że taka sprawka mogłaby sławę moję figlarną na zawsze utrwalić:

„O! ty co bujasz wesoło po jasnéj Niebios przestrzeni,
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,
Serce cię moje chwytało,
Wysoka chwało"!

Co za tryumf!?... gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całéj klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć. — Już nawet skradałem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor, i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego méj powieści celu: — siódmego stycznia, nazajutrz po trzech królach, przybiegłem rychło do zakrystyi, pragnąc służyć do mszy studenckiéj, — a lubo nie bardzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tylko końcówki: *„per Dominum Deum nostrum" „sanctae"!* głośno wymawiałem — jednakże natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę — aż tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu kłóci się o pierwszeństwo. — Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiéj biedzie.

— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargocze? *„die erste Abtheilung der deutschen Literatur" „ruhig"!*—

„ruhig“! — i zawsze *„ruhig“!* — zupełnie, jak gdyby kto szczotką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął «hajdamaku»! — na całą godzinę było cicho, i chociaż często dał żelaznych karmelków *) miléj przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfuss to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on téż uczony! Kaulfuss i Casius należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta rozumie? — zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy; żeby on to po polsku mó-

---

*) Był to przez rektora szkół poznańskich, księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszéj. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku, — zwykł był mawiać: „dostałem świeże leslowskie z Warszawy karmelki“ i serdecznie kluczem, który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. — Bolało to, pamiętam, bardzo. — Panie świeć nad jego poczciwą duszą! — Miał on ksiądz nader groźną minę — marszczył czoło, jeżył czuprynę, fukał, dawał karmelki aż czasem łapka spuchła — a przecież my go z całéj duszy, z całego serca kochali, i wiedzieliśmy dobrze, za co go kochamy.

wił — «pierwszy oddział literatury niemieckiéj poczyna się»...

— Ej gadasz, on nas pierwéj powinien nauczyć gramatyki — wokabuł — a potém dopiero rozprawiać o literaturze. — Słuchaj Auguście! zróbmy mu dzisiaj figla; jak on zacznie *„ruhig“!* to my się odezwijmy *„Stille“* tylko tak, aby żadnego nie spostrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego, ty wiesz?...

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystyi, tylko poprośmy Walentego.

— «Mój kochany Walenty dajcie — dajcie — mnie i mnie», jakoż w krótkiéj chwili powolny zakrystyan dał każdemu z nas po odrobince żółtego wosku.

Poważnie ozwały się organy — miły śpiew choralny rozległ się po świątyni pańskiéj, i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga — we farze poznańskiéj — siedmset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę — bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, — nauczycielom troski i znoje nagrodził. Byłem i ja w pośród modlących się; zapomniałem o Berencie — myśl pozbyła się swawoli — pobożnie patrzyłem się na obrządek mszy świętéj — i dopiero gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio — «czy masz wosk»? — «mam», odrzekłem, i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8-méj do 9-téj był język polski — poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego; słuchaliśmy z wdzięcznością, bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lube obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innemi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydłach, króciuchna ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pudel Schal zmianę godzin dzwonkiem ogłosił; wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął profesor Berendt. — Porachowałem u prawéj nogi guziki, było ich jak dawniéj nie mniéj, nie więcéj jak siedm, — rachuję u lewéj — nie dowierzam oczom moim! o radości! — sześć tylko. — Prawił tymczasem pan Berendt o Wielandzie; myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

„Ruhig“! — *„Stille“!* ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— *Was ist das?*

Harmonia woskowa zagrała.

— *„Du ungezogener Bube“!* — schwycił mnie za kołnierz granatowego spancerka i silnie za drzwi wyrzucił. — Świeże powietrze owiało mnie; — Michałowska, żona stróża szkolnego, roześmiała się mówiąc: «już to znów na pokucie»? — Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając jak się tam moi koledzy popisują — i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, — ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu do mnie

zagadał: «A cóż wilczku, wygnali cię z kniei — pewnoś baranka dusił»? — «Nie, księże Profesorze! jam nic nie robił — i (skrzywiłem twarz moję w grymas płaczu) tylko pan profesor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem — a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem». — Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył na rozcierz drzwi klasy, i popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł: «Kopernik był Polakiem — jest to rzeczą dowiedzioną i żadnéj nie ulegającą wątpliwości — proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Gietyndze ale nie u nas»... i wychodząc drzwi za sobą zatrzasnął. Berendt stał nieporuszony i niemy; — łoskot grzmotu nie jest tak głośnym jak był śmiech i wrzask siedmdziesięciu chłopców! «Aha! *sehen Sie Herr Profesor!* — nie będę marzł na zimnie» i wyszczerzyłem zęby. — Tu już hałas wzmógł się do najwyższéj potęgi; ławki trzeszczały, nogi tupały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

Cóż? — zapytał przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika. — «Ksiądz Profesor ledwie wyszedł — on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie przyznawają»... Nie dał mi dokończyć ksiądz dziekan — trzęsąc się ze złości wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy, i w najwyższém uniesieniu zawołał: — «Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie bę-

dzie — a jeżeli nam pozazdrościli»... *„Was wollen Sie damit sagen, Herr College“!* — *„Kopernik war ein Pole“!* Wtém ukazał się ówczesny rektor Kaulfuss: rzecz się wyjaśniła, — cenzor klasy zdał świadectwo, — pogodzili się przeciwnicy — i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi czytelnicy, że zamilczę — bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboka myśl tych wyrazów «co się dzieje w szkole, nie powiadaj! choćby cię smażono w smole»! do niektórych przynajmniéj okoliczności i dzisiaj zastósować muszę.

Długo — długo po tém zdarzeniu, jeszcze i na uniwersytecie Wrocławskim moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często «czy Kopernik był Polakiem»?

Patrząc tu w Warszawie na pomnik tego wielkiego męża, szybko omijam to miejsce. — Wczoraj przy ulicy Senatorskiéj spytał mnie jeden z dawnych znajomych «czy Kopernik był Polakiem»? — Łzy zapełniły oczy moje — było to wspomnienie z lat daleko ubiegłych — z lat młodości i szczęścia.

SPOSTRZEŻENIA
nad moralnemi chorobami XIX stulecia.

O kołowaciźnie literackiéj.

Kołowacizna, kołowrót, kręcik, *(polycephalus rationis nigrae* choroba dzisiaj nadzwyczaj zagęszczona, wedle ścisłych badań przeszła do rodu ludzkiego wprost od owiec.

Kołowacizna owcza *(hydrocephalus dydatyteus)* ma swoję siedzibę w jamie czaszkowéj; — toż samo i u ludzi w mózgu się zagnieździła. U owiec są 4 główne rodzaje téj słabości: 1) Chora owca zatacza się w rozmaitych kierunkach, chwieje się, ale w górę nos podnosi, i zwaną jest *żeglarzem.* 2) Zatacza się w jednę zawsze stronę i w kółko obraca, głowę i kark zwiesza na bok ją wykręcając; — powszechnie nazywają ją *kręcikiem.* 3) Biegnie szybko naprzód, kłosem, z opuszczoną głową, potyka się i upada; — nazywaną jest *kłósakiem.* 4) Kręci się w lewo i w prawo, podskoczy i stanie słupkiem w otrętwieniu, które i pół godziny trwać zwykło; — nazywają ją *waryatem.* Ostatni rodzaj jest najniebezpieczniejszy. Wogóle, choroba ta u owiec po większéj części niewyleczona, należy do zapalnych; powstaje z niestósownéj zmiany karmy, z niezdrowego powietrza w owczarni; z upałów południowych, lub jest spadkową. Zaradcze środki wskazał

nam w Weterynaryi Popularnéj zasłużony w Agronomii, czcigodny J. N. Kurowski.

Przedmiotem naszych uwag jest kołowacizna literacka; jawi się na wszystkich drogach *wiadomości ludzkich*, a policzyć jéj rodzaje przechodzi granice możności jednego człowieka. Niosąc na ołtarz spólnego pożytku cząstkowe spostrzeżenia, daleki jestem od téj zarozumiałości, abym sądził, że całość stworzyłem, że doskonałość jest pracy mojéj udziałem; — raczéj pragnę wywołać zdolniejszych mężów do zastanowienia się nad kołowacizną literacką, bo wszakżeż, gdyby każdy z mistrzów w swoim udziale młodemu pokoleniu wyjaśnił przyczynę kołowacizny, i wskazał zaradcze środki, ileż to *żeglarzy, kręcików, kłósaków*, i (najniebezpieczniejszych) *waryatów* wcześne znalazłoby ocalenie, a świat o ileżby spokojniéj oddychał?...

Przed wszystkiemi innemi rodzajami kołowacizna filozoficzna obecnie najwięcéj i najszkodliwiéj pokutuje i to w dwóch zupełnie sobie przeciwnych kierunkach.

Filozofia jest dążeniem do prawdy, a zatém jéj wyjaśnieniem; głównie zaś polega na ujęciu w obręb najściślejszych definicyi tego wszystkiego, co z natury swojéj zdaje się leżeć poza wielkiém orzeczeniem.

Zapytałby może niejeden, dla czego koniecznie taka transcendentalność ma być przedmiotem prawdziwéj filozofii? Dla czego nie opiera się raczéj na praktyczności, na rzeczywistéj stronie życia? i jaka

przedewszystkiém może wypłynąć korzyść z badań metafizycznych, których raczéj treść do teologii i do niezłomnéj wiary w objawienie należy?

Otóż macie jeden główny systemat choroby filozoficznéj. Nieszczęście! stają na cudzym gruncie, walczą cudzą bronią, wyrzekają cudzym językiem i o tyle tylko od istotnych odróżniają się filozofów, o ile ich rzecz jest bez związku i przed logicznością ucieka. Cała bowiem ich nauka jest to miotać obelgami na obszar nauk filozoficznych, których tém samém nie pojęli; jest to poddawać się pokornie pod obce, czyjeś wyrzeczenia; jest to zaszczycać imieniem niemoralnych i bezbożników tych wszystkich, którzy na drodze spokojnego badania, jakkolwiek prowadzeni skazówką objawienia, dochodzą szczytnych początków ducha wszechświata i ducha człowieczego. Dobrze to pojęli twórcy najnowszych systematów filozoficznych, kiedy logikę w jedno złączyli z metafizyczną dziedziną; przewidywali bowiem, że nadejdą kiedyś kołowate półgłówki, co chcąc napastować w filozofii stronę czystą, transcendentalną, nie potrafią jéj oderwać od cudownie ułożonego biegu logicznego, a więc walcząc przeciw filozofii, walczyć zarazem będą przeciwko zdrowemu rozsądkowi i jego następstwom.

Pytamy, czy ktokolwiek może nie upatrywać w podobnym stanie usposobienia umysłowego wyraźnéj, najzupełniejszéj choroby umysłowéj? Przeciwnicy rozumu dowodów swojéj nieprzyjaźni na drodze samegoż rozumu wyszukują: takich to *mi-*

zologów filozoficznych do pierwszego rodzaju kołowacizny zaliczymy.

Do drugiego należą ludzie o słabych żołądkach a niepoślednich apetytach, którzy połknąwszy nieco najrozmaitszego pokarmu spekulatywnego, strawić go jednak nie mogą. Młodzieniec zbrojny kilku tuzinami myśli i zdań oderwanych, ubogi w nauki ścisłe, a naukom przyrodzenia zupełnie obcy, w zamian których opatrzył się w dykcyonarz kapłańskich mistrza wyrażeń, ztąd pewny zwycięstwa, maszeruje groźnie do zdobycia szturmem wiedzy w jéj absolutném stanowisku; — ale niestety! z braku przysposobienia się do walki na pierwszym szczeblu traci wszystkie zdrowe zmysły, na drugim dostaje zawrotu głowy, z trzeciego upada kołowatym! i zaiste nie żeglarzem, nie kręcikiem, nie kłósakiem, ale w zupełności waryatem. Jako taki gada od rzeczy, po kilka dni zostaje w odrętwieniu — potém nagle wpada w szalony zapał, pierwsze lepsze okresy z Arystotelesa łączy z myślami Kanta, ogólnik Platona stawia za pewnik matematyczny, i z téj mieszaniny tworzy chaos najdziwaczniejszych wniosków, przy którym sprawa w naszym Osieku, a nawet wiekopomny nieład przy budowaniu wieży Babel pierwszeństwo utracają; — i ten to chaos obiera i przyjmuje za oś dostatecznéj doskonałości, i z pogardą lub z litością spogląda na niepojmujących jego systemata, nie bacząc, że on sam siebie tylko w chwilach gorączki rozumieć się zdaje. Biada temu, kto jego rozpraw i dowo-

dzeń słuchać jest przymuszony, — a stokroć biada temu, co się w jego pisma zagrzebie, bo przy najsilniejszym organizmie mózgowym dostanie nieochybnie zapalenia, albo mu nerwy łączące rozum z sumieniem nieodzownie pęknąć muszą.

Poznaki kołowatego filozofa są:

1) W każdém tchnieniu pełno zwierzchniéj uczoności, a w każdéj myśli pełno głupstwa.

2) W ciasnych położeniach nagła i najłatwiejsza zmienność zdania.

3) Używanie formułek mowy filozoficznéj w życiu najprozaiczniejszém: — np. rozprawiając o pożytkach mierzwienia roli, wyrzeknie: — «Sterkoryzacya w dziedzinie wiedzy agronomicznéj jest przedmiotową»; — ganiąc nałóg pijaństwa, nazwie go «odjemnym działaczem na racyonalizm»; — całą godzinę będzie gadał o materyi i o duchu, zwalczy przytém Leibnitza, pochwali Fichtego, — i skończy na rozwoju nieskończoności.

Napomnienie odebrać mający kmiotek, albo zagrodowy szlachcic, lub pozornie pokorny ekonom, za powrotem do domu, przy gęstém poczęstnem zapewnia swoich przyjaciół, że ten mądry pan albo był pijany, albo.... posztuka po czole na znak, że nauczycielowi pomięszało się w głowie. Podobne przykłady są niezliczone, i wszystkie noszą jednę cechę popisywania się z mniemaną filozofią, przyczém przymiotnik absolutny, a, e, bezwzględny, a, e, — we wszystkich siedmiu przypadkach *nu-*

meri singularis et pluralis, o ile można najczęściéj bywa powtarzanym.

4) Ubiór naumyślnie niedbały; obyczajność oryginalnością zadziwiać mająca.

5) Wieczne skargi na ciemnotę rodu ludzkiego.

6) Roztargnienie zmysłów tak daleko posunione, że nawet to, co wszyscy mijają, kołowaty filozof absolutnie rozdepcze, bo jego myśl gościem na ziemi; ona zawsze goni za absolutną prawdą w krainie ducha, — rozumie się — absolutnego.

Skoro kołowaty filozof roczek jeden tylko w słabości potrwa, już nie masz dla niego ratunku! — dla świata zginął na wieki. — Co do sumienia... niechaj go Bóg osądzi!... wyroki ludzkie, jak w wielu sprawach, tak szczególniéj w sprawach sumienia ludzkiego mylnemi bywają.

Czyli po dziś dzień filozofia schwyciła wiedzę i prawdę — których filozofów z nieskończonego szeregu kołowatych odłączyćby wypadało, nie w tém tu miejscu mówić należy, — w przecięciu na stu, licząc sumiennie, 99 jest kołowatych. — O gęsiach zamilczę.

Kołowacizna badań historycznych.

Jeżeli badacz z małą znajomością historyi, bez żadnych usposobień naukowych, tutaj filozoficznych i filologicznych, rzuci się na stare księgi, na zbutwiałe rękopisma i odwieczne pamiątki, — natenczas chciwe mózgu czerwone robaczki ssą go nielitościwie, zapalenie szybko wzrasta, badacz nagle

dostaje zawrotu, odrętwienia, zatacza się w kółko, szyję naprzód wyciąga i staje się kręcikiem.

Na własne widziałem oczy, jak w zeszłym roku młodzieniec z świeżym, niezakatarzonym nosem zajrzał do księgozbioru niegdyś zakonu Benedyktynów i z wściekłą radością pochwycił, porwał i uciekł ze spisem kuchennych wydatków w roku 1478. Było to po łacinie, gotyckiemi literami zapisanych przez X. Kanafarza arkuszy około 300. Ów badacz przez 8 dni męczył się nad zrozumieniem pierwszego wiersza, ale nie mogąc podołać, poradził sobie zapraszając znajomego filologa i jakoby od niechcenia, z uśmiechem wieloznacznym podsuwa mu ów mniemany skarb. Uprzejmy gość tłumaczy:

«W środę przed św. Benonem, wydano kaszy jęczmiennéj otłuczonéj na stół dla księży kwart 8; dla czeladzi pośledniejszéj kwart 5. *Item* sztokfiszu funtów 16, *item* grochu dla ludzi kwart 5, *item* kapusty garnków 3».

— A to jest ważne, ile wówczas jedzono?!...

— Szkoda, że liczba ludzi nie oznaczona.

— Prawda!...

Taki to mąż całe życie szpera, i jeżeli nie napotka szczerego przyjaciela, któryby mu wyjaśnił, co historyczny badacz w zasobie osobistym przed rozpoczęciem badań mieć winien, nieborak zemrze na kołowaciznę, zostawi 500 arkuszy niezrozumianych przez nikogo notatek, stosy skradzionych osobliwości najnieciekawszych, a w «Kuryerze» znajdziemy: «Uczony ziomek, badacz starożytności,

zawczesną śmiercią okrył kirem kraj cały i t. d.» wedle zwyczaju.

Niewiasty od téj słabości są wolne, a jeżeli zajrzą do starych ksiąg, czynią to wtenczas, kiedy romans historyczny pisać zamierzają. Bogu dzięki, natężenie nie jest zbytnie, po wierzchu obaczą, — dla tego mózg się nie osłabi i czerwonego robaczka na błonie nie ujrzysz.

Kołowaciznie badań historycznych ulegają i mężowie znakomitych zdolności, ale bardzo rzadko i w tym tylko przypadku, gdy starożytność do swéj potrzeby a nie do rzeczywistéj prawdy sprowadzić ośmielają się. U nich robaczki czerwone ssą nie mózg, ale serce i kołowrót przechodzi w inną chorobę, w kurcz sumienia literackiego — o czém później.

Kołowacizna księgarzy.

Księgarz gdyby mógł być uważanym li tylko jako kupiec materyalny, nigdyby chorobie kołowacizny nie uległ; lecz kiedy powołanie jego jest wyższe, a niezrozumienie tego powołania zbyt wielkie, tworzy się wówczas kołowacizna, czerwone robaczki ssą mózg, powstaje zapalenie, zatacza się, chwieje i staje się *kłósakiem*. Zrozumienie swego powołania jest dla księgarza jedyném zagadnieniem, którego rozwiązanie nie tak łatwe, jakby się komu zdawało. Nie dość dla księgarza zapełnić cztery pokoje księgami, wyuczyć sprzedającego, jak ma kupującym wychwalać objętość dzieła, dobroć pa-

pieru, wyrazistość czcionek, piękność obrazków; nie dość tedy i owedy wydać własnym nakładem nędzny romansik, kabalistykę lub wykład snów, utargować dziennie 300—500 złp. — powinnością jego jest wpłynąć korzystnie na ogół, a jak to uczynić?... rozum i sumienie najlepiéj mu wykażą. Jeżeli zaś zbywa mu na tych dwóch przymiotach, stokrotnie biada! — Zawiódł on siebie, zawiódł i publiczność; przeszedł albo w poczet kramarzy, albo kłósaków: jednéj z tych ostateczności nie uniknie.

Pomińmy kramarzy jako niegodnych wspomnienia; przypatrzmy się *kłósakom*. Piotr kupił po Pawle księgarnią, uporządkował, oczyścił, uzupełnił nowszemi dziełami, zawiązał z księgarzami za granicą stosunki handlowe, polecił się miejscowym literatom, a nadto przedsięwziął swoim nakładem wydawać dzieła, zwłaszcza że szwagier jego, Tomasz, na témże przedsiębiorstwie w 5 lat niespełna 140,000 złp. zarobił. Ale Tomasz nie był kłósakiem, wiedział, co drukować a co sąsiadowi odstąpić; Tomasz autorowi, którego rękopis lichą był ramotką, tysiączne oświadczył ubolewania, że dla natłoku pracy, dla braku gotowizny tak udatnego utworu nabyć niemoże; Tomasz drukował tylko księgi treści wyraźnie znamienitéj, zdatném piórem skreślone. — Piotr zaś, znając się tyle na literaturze, ile koza na pieprzu, przynoszone mu rękopisa oddawał nie pod sąd światłych i pogłos naukowy posiadających literatów, ale pod sąd swéj siostry,

która namiętnie lubiła romanse, pod sąd swojego brata, który po ukończeniu szkół obwodowych cukiernią założył, — albo pod sąd swojego siostrzeńca, który w rodzinie uchodził za mędrca, usposobił się bowiem na pomocnika do jeometry, i umiał suche pola, zarośla, bory, a co więcéj bagna i wody przemierzać. Ci to trzéj sędziowie zwykle pochwalne wydawali zdania; niechaj do tego autor był uprzejmym, grzecznym i starannie ubranym, niechaj autorka była miłą i wymowną osobą, Piotr nabywał rękopisa i drukował: Podróże Basi, Ruiny zamku Zdzisława, Kurchanki, i tym podobne brednie, — kiedy tymczasem wypuszczał z rąk dzieła zaszczyt i korzyść wydawcy przynieść mogące, bo tutaj autor był mało mówiącym i niepozornéj powierzchowności, rękopis jego był na szarym papierze, nieczytelnie, niestarannie przepisany. — Cóż się stało? Piotr wplątał się w kilkanaście nakładów książek, o których publiczność i słyszeć nie chciała; Piotr stracił kilkadziesiąt tysięcy. — Czemu? bo Piotr nie będąc sam znawcą, powierzał sąd ludziom równie jak on nie zdolnym, — przyjaźni z mężami umniczymi nie poszukał, i działał na oślep, a czerwone robaczki tylko czychały na żywioł. Dla tego dzisiaj Piotr zatacza się, stawa słupkiem, w odrętwieniu, i biorąc znów z jarlakami porównanie należy do 3 i 4 rodzaju, to jest i do kłósaków i do waryatów. Szkoda, Piotr miał dobre chęci, ale go kołowacizna zgubiła. — Temu losowi, co Piotr popadło wielu, i można zapewnić

śmiele, że na kłósakach w księgarstwie nigdy zbywać nie będzie.

Kołowacizna powieścio-pisarstwa.

Skoro tylko autorowie czy autorki, bez logicznego układu, bez dążności moralnéj, bez smaku, bez znajomości sztuki, słabe i najdziwaczniejsze pomysły kleić poczną, przyodziewając je pożyczoną z tandety sukienką, czy tam jest tytuł: powieść obyczajowa, czy tak zwana historyczna, czy szkic, czy fantazya, — zawsze do kołowrotów, do kręcików policzyć ich należy. Kilka przykładów z świeżo ubiegłego czasu niechaj o rzetelności mojego twierdzenia zaświadczą.

Młodzieniaszek zapala się we śnie żądzą sławy, — widzi i słyszy, jak dwaj z Olympu heroldowie trąbią w cztery części świata: «Fabian Oślikowski napisał tom z 143 stronic złożony; romans oryginalny, pod tytułem: *„Kurchanek“*.

Tra! tra! tra! — i trąbią coraz głośniéj.

Fabiś nazajutrz pisze i z radości płacze jak bóbr; matka płacze, że się dochowała takiéj pociechy i chluby; kochanka pyszni się jak paw', że jéj narzeczony napisał romans; brat w szkołach co pół godziny powtarza: «mój brat, co książki pisze»; a wujowie, stryjenki, ciotki i stado krewniaczek, — wszystko wrzeszczy: «Fabiś napisał książkę, Fabiś bardzo uczony! Mój Boże! ktoby się był spodział, — najgorsze ze szkół przynosił świadectwa, a teraz książki *komponuje*. Zwyczajnie

zafukali». — I Fabian Oślikowski nie wiedząc, jak się to stało, został autorem... śmieci literackich.

Kalassanty Rozpętowicz jeszcze w czwartéj klasie umarzył sobie powieść *historyczną (?) „Ruiny zamku Zdzisława“* i głowa jego była przez lat trzy brzemienną Ruinami Zdzisława, i trzy lata zaglądał do staréj spleśniałéj kroniki, i w powieści kilka razy wspomniał o Jagielle i o Krzyżakach; opuścił wprawdzie tło ówczesnego wieku: Krzyżacy gadają językiem naszych Dandych «weź pan miejsce» — «miéj pan tę dobroć osądzić moich uczuciów» i t. p. ale — są nazwiska historyczne, a więc romans historyczny, i lubo Zabrzezińskich wprowadza do miasta, które za naszych czasów zbudowane zostało, — nic to nie szkodzi, — od czego *licentia poetica?* Natomiast nazwisko autora gotyckiemi wytłoczono literami, okładkę dano ciemno-tabaczkową z seledynowemi ozdobami, rok najświeższy o sześć miesięcy naprzód posuniony, w dwóch tomach po 177 stronic, — i Kalasanty Rozpętowicz stworzył powieść historyczną. NN. i XX. przesłali do gazet pochwalne sądy; p. Y. wytyka pomniejsze usterki, ale przyznaje wielki, niepośledni jeniusz, dziwi się dla czego się ten jeniusz ukrywał, — i zaklina na Jowisza, aby takich nie zagrzebywał zdolności.

Minodora, piękna Minodora, w stu bezsennych nocach ułożyła powieść uczuciową: *Edgar i wierność do grobu, czyli kolczyk w Arabii.* Jarmark w Jędrzejowie. — Ansgar poznaje Filomenę. Ansgar odjeżdża do Algieru, tam zabija trzy-

stu Beduinów, chwyta lwicę i lwięta, kuje w kajdany, zwycięża hyenę, krokodyla i parę lampartów. Otoczony żywemi bestyami, wraca do śnieżnego podnóża powątpiewającej o jego wierności Filomeny. We wnętrznościach krokodyla znajdują kolczyk, który Adila Turczynka, karmicielka Filomeny, otrzymała od jéj babki Petronelli jako dowód, że Filomena księżniczką. Filomena, mitrą książęcą okryta, nie zmienia uczuć, wyrabia u stryja księcia hrabiowską dla Ansgara koronę. Ansgar nie wiedząc o tém i wątpiąc o wierności Filomeny, wstępuje do Kartuzów, tam oddaje mu przełożony pismo, które mu przed trzydziestu laty umierający podróżny był złożył i z którego się okazuje, że Ansgar jest potomkiem Boabdila, ostatniego z królów Maurytańskich. Mieszkaniec z wysp Kanaryjskich (gdzie cukier najlepszy robią) zwiedza Rzym, dowiaduje się osobliwym przypadkiem, że Ansgar jest synem Ildefonsa, zwraca mu 60 milionów franków, złotem holenderskiém na węgierski kamień ważoném, skarb u niego na schowanie przez Ildefonsa zostawiony. Władze duchowne uwalniają Ansgara od ślubów klasztornych. Ansgar wraca do Warszawy, znajduje Filomenę w klasztorze, wbiega w chwili obłóczyn, wydaje krzyk, Filomena mdleje. — Nazajutrz łączą wiernych kochanków. Romans kończy się bengalskim ogniem i wielką fantazyą na flotrowers, co autorka niezrównanie opisała, używając prawdziwie technicznych wyrażeń. — Ale o nie-

sprawiedliwości człecze czyli ludzkie! — jakiś dziwak napisał, że Ansgar, kolczyk i wierność, — są to mgłe klejonki.

Autorka ciska płomień gniewu, klątwy, złorzeczeń; upewnia swoje przyjaciółki o wielkiéj zmowie, o spiknięciu się; zaprzysięga stanąć w obronie wszystkich nieszczęśliwych, i sama Minodora pisze dwa arkusze rozbioru *bezstronnego*, z którego się wykrywa że jéj dzieło należy do *nieśmiertelnościów*. Uczony (to jest uczył się) Cyryl Doroteusz Mordęga umieścił w jednem z pism publicznych coś w ogólności o romansach, a głównie coś w szczególności o Ansgarze i Filomenie. Pan Mordęga napomknął coś o estetyce; wspomniał o obecnym widnokręgu literackim, i wywnioskował, że Ansgar i Filomena są wzorową powieścią.

Nie dawno dostał mi się do rąk wielki, rozchwalony poemat z dziejów rodowych. — Czytam, — i słowa nierozumiem, co autor za cel był sobie założył. Autor był mi dobrze znajomym, pytam i proszę o szczerą odpowiedź. Pogładził jędrnéj czupryny, zaczerwienił się jak rak, jąkał się, — lecz gdym go ściskać przyjacielsko począł, i gdym mu do duszy zagadał: «Kubusiu, powiedz jak'eś uczciw, powiedz, skąd powziąłeś pierwotną myśl do tego poematu? coś napisać chciał? co to są za osoby Rodryg i Odrzygiełło! wyjaśnij mi tę mitologiczną ich tajemność» — wówczas Kubuś rzekł:

— Pierwotną myśl do tego poematu podał mi romans Rinaldo-Rinaldini. Rzecz całą zmieniłem,

uczyniłem ją rodową, bohatera mego poematu, Odrzygiełłę, przeniosłem w ukraińskie stepy, iżby tam został przez puszczyki, przez nietoperze zadziobanym na śmierć, — z której powstaje dopiero po siedmiu latach i ukazuje się swym przyjaciołom na kontraktach w Kijowie.

— «I cóż; Kubusiu, nie czujesz zapalenia mózgowego»?

— O! czuję, czuję, że coś ssie moje siły umysłowe, doznaję chwilowo zawrotu i w głowie mi się kręci...

— «Niestety! już są czerwone robaczki, już do kołowatych, do najniebezpieczniejszych, do *waryatów* należysz. Zmiłuj się nad sobą, póki czas, Kubusiu! kołowacizna autorstwa książek jest chorobą okropną. Posłuchaj mej rady: — jeżeli nie masz usposobienia naukowego, jeżeli w twej głowie pustki, po cóż ci koniecznie pisać?... Prawda, że okrzyczane literatury, niemiecka i francuska, mają podobnych dzieł tysiące, że w każdej francuskiej i niemieckiej księgarni znajdziesz większą połowę ksiąg przez kołowatych autorów pisanych, — ale pocóż nam cudzoziemców w ich złem naśladować? Nie zazdrośćmy im tych stosów literackich śmieci; mają oni dzieła wielkie nieśmiertelne; te od nich przyjmijmy, szum lub nieczysty osad zwróćmy im z grzecznością. — Niechaj się ilością szczycą; my na jakości, na wyborze poprzestańmy. Wielość piszących dowodem umysłowego postępu, ale wielość ksiąg niedorzecznych jest zarazem zgubną dla ro-

zumu, dla młodzieży bez wyboru czytającéj, — jest zarazą dobrego smaku, jest kołowaciznąˮ.

Chęć autorstwa u nas nie jest bynajmniéj za wielką; biada tylko, że śród małéj liczby piszących siedm dziesiątych części na kołowrót literacki choruje, a wcale leczyć się nie chcą, chociażby znaleźli zaradcze środki, jakiemi są:

1) Nauki zasadnicze, czczością umysłową nieskrzepłe, do użytku praktycznego zastósowane.

2) Przekonanie się, że belletrystyczne wiadomości, dla salonów arcy dostateczne, do pisania ksiąg bynajmniéj wystarczającemi nie są: bo dzisiaj w świecie literackim już czeskich kamieni za brylanty czystéj wody nie przyjmują. Wolno śród niedowarzonych półgłówków, śród ludzi ograniczonych, popisywać się z niedogryzkami literackiemi, ale prawdziwa wartość przyznaną obecnie bywa— tylko prawdziwéj wartości! — kołowroty, kręciki, wiek złoty już dla was przeminął!

Maleńki odłamek z historyi mojego nosa.

„Dostał nosa i spuścił go na kwintęˮ.

Zkąd wzięło to przysłowie swój początek, oznaczyć nie umiem, a spytać się o to czcigodnego Wojcickiego, dotąd zaniedbałem; znaczenie przecież tego przysłowia nie jest nikomu obce, i podobno każdy z ludzi odbiera i odbierać będzie nosy

i będzie je spuszczał na kwintę: wszakżeż nawet i wielki Napoleon przez nieszczęsny los, ukracający jego zuchwałość, dostał nosa, i na wyspie św. Heleny spuścił go na kwintę. Ależ i całe narody nie szukając w odleglejszéj przeszłości, np. Turcy po bitwie pod Nawarynem, nie dostaliż nosa, i nie spuściliż go na kwintę? Cóż więc dziwnego, że i ja, będąc małym chłopczykiem, dostawałem nosa od moich najdroższych rodziców za rozmaite błędy dzieciaczka; żem dostawał nosa od domowego nauczyciela za nieuwagę lub rozstrzepanie; żem w szkołach publicznych dostawał nosa za hałasy, za figle, za kostery i za zarozumiałość o swych zdolnościach a ztąd mniejszą jak należało pilność; na uniwersytetach wprawdzie nie odbierałem nosa, ale znów po nosie rapirem kilka razy dostałem; w wojsku często dostałem nosa za spóźnienie się na parady, (bom też ja i nigdy żadnéj parady nie lubił; ale jak minęła parada, anim się razu nie spóźnił, lecz znów tych od parady nie było); w urzędowaniu wójta gminy dostałem nosa od wągrowieckiego landrata; od rejencyi bydgoskiej za niezdanie raportów o wściekłym psie, o pojawieniu się wilków, o chorobie śledziony i t. p. Później jeszcze żydkowie poznańscy poczęli mi dawać nosa pozwami, i jak tylko dawno i szeroko zapamiętam, od najdrobniejszéj młodości dostawałem i dostaję nosy, coraz to głębiej spuszczam mój nos na kwintę, i dziwię się, że tylu dodatkami przydłużony dotąd ziemi nie dotknął; możeby też już był i dotknął,

ale go nadzieja dźwiga do góry, i jakoś z braćmi nosami innych ludzi w równi utrzymuje. Historya mojego nosa, aczkolwiek go nigdy zbytnie nie zadzierałem, w szczegółach jest ciekawa, bo los w czynieniu dodatków do mego nosa był bardzo chimerny: tam, gdziem na najdłuższy zasługiwał, zostawił go takim, jakim go dało przyrodzenie; gdziem był najniewinniejszy, przyczepiał mi śmiertelnéj boleści nos dodatkowy i stroił go na kwintę rozpaczy. W osobném dziele (in 8-vo z rycinami, z przedmową, z głosem do czytelnika, i ze spisem omyłek drukarskich) przy schyłku dni moich (co mniéj więcéj za lat 40 nastąpić może) skreślę wszystkie szczegóły losu mojego nosa, dzisiaj opowiem tylko, na duchowny obroczek dla wiejskich współobywateli, przypadek, jak w jednym dniu od sandomierskiego chłopka, w jednéj chwili trzy nosy dostałem.

Chłopek bronował zasiew żyta, a było to już w końcu drugiéj połowy miesiąca października; ja z dwururnią w ręku, pod wiatr przy piaszczystéj górze upatruję kusego, i lekceważąc pracującego chłopka mijam go milczący. «Na wieki wieków amen» głośno wymówił chłopek i nisko mi się pokłonił. «Niech będzie pochwalony» szybko odrzekłem spostrzegając się w błędzie. Był to pierwszy nos, alem go bynajmniéj nie spuścił na kwintę, i przeciwnie niecom się obraził, że chłopek mojéj nieuwagi nie przemilczał; przystanąwszy więc, łającym pańskim tonem ozwałem się do niego:

«Cóżto, dopiéro żyto bronujecie?... a kiedyż ono zejdzie»?... — Razem z dworskiém, co go wczoraj siać dokończyli niespełna, uśmiechając się odpowiedział chłopek; — to był już drugi nos. — «Ja, bo wysiewam 300 korcy, nie dziw więc, żem się spóźnił». — Ja wielmożny panie, odrabiam cztery dni pańszczyzny; przez dwa miesiące po dwa dni w tydzień jeździłem o trzy mile na szarwark, stróża na mnie kilka razy przypadła; do wybierania dworskich kartofli z dnia na dzień wyganiali; odnosiłem podatek do miasta obwodowego, i jeździłem z pańską, duchem wymłóconą latosią przenicą do Warszawy, bo się podobno jegomość obawiał, żeby nie zatęchła.

To był w jednéj chwili trzeci, ale już porządny nos, i czułem, że mi się spuszcza na kwintę. Zostałem dłużny w odpowiedzi, za kusym daléj nie biegłem, ale powróciłem do domu, i przedewszystkiem rozkazałem karbowemu, aby Szczepaniaka na cztery tygodnie od pańszczyzny uwolnił. Następnie zacząłem dumać, czyliby mojéj teoryi o ścisłéj, szczegółowéj sprawiedliwości, gęsto po głowie i w sercu zasianéj, do praktyki wiejskiego państwa systematycznie i na zawsze wcielić nie można?...

NAPOLEON i ŻYDKI SWARZĘDZKIE.

(Zdarzenie prawdziwe).

W Swarzędzu, miasteczku o jednę milę od Poznania odległém, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszyznę żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy niemi ruchu, który od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tem prócz p. burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiéro wyjawiła się u chrześcian pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli, i że po za kirkutem (cmentarzem) takowe ujeżdżają, że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowę zachodzili ciekawsi, co by to znaczyło? bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, że Napoleon, cesarz Francuzów, w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. — Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zieleńca. — Jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Poza karczemną stajnią zgro-

tłoczył się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas, byłyby w stanie lichą artyleryą zagłuszyć. Już wtenczas każdy się mógł domyślić, że owa żydowska tajemnica była w celu uczynienia miłéj niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszéj z południa krzyknął na dachu siedzący szajgiec: *„Er kymt! er kymt“!* (jedzie! jedzie!) Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon! Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych jenerałów o strategiczne położenie Swarzędza. Oko jego oparło się na przeciwległéj górze, gdy nagle z poza stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, konie strojne rozmaitéj barwy pokryciem; pióra, pałasze, gdzieniegdzie piki i sztandary, nadawały téj jeździe szczególnéj wojenny i azyatycki charakter; Napoleon wstrzymał konia i spojrzał się na swoich — nikt tego wypadku objaśnić nie umiał. W tém wysuwa się naprzód dowódca jazdy tureckiéj a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza zdejmuje z głowy turban mówiąc: *„Fürchten Sie nichts, kaiserliche Majestät, wird sind keine Türken, wir sind schwersenzer Jüden“*. (Nie lękaj się Wasza Cesarska Mość, myśmy nie Turcy, my jesteśmy żydki swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał — odważne Turki krzyknęły:

«*Wiwajt!* Wielki Cesarz Napoleon niech żyje!

jeszcze raz niech żyje»! i powtórzywszy trzykrotnie *„Wiwajt"!* usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuscy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmiał.

A B C
dla pełnoletnich dzieci.

Wybierając się z Warszawy na pola, bory i lasy — pod słomiane strzechy i do murowanych dworców, — umyśliłem i postanowiłem zabrać kilka liber papieru, spore naczynie z atramentem i piór zastruganych pół kopy, iżby kilkotygodniowych spostrzeżeń nie oddawać na łaskę często niegrzecznéj pamięci. Moja literacka przezorność okazała się rzeczywiście potrzebną, gdyż na pierwszym noclegu, gdzie dziennik mój rozpoczynam, w pochylonéj karczemce od lat 40 — od czasu jéj wybudowania — żaden z ludzi pióra w tém miejscu do ręki nie wziął; djabeł zaś, który narzekania i przekleństwa pijanych chłopów na przypiecku liczył, wyręczał się pazurem, znacząc kreski po ścianie, doliczywszy bowiem pewną ilość przez Lucypera oznaczoną, miał mieć prawo porwania dziedzica żywcem do piekła za to, iż na siedmnastu włókach trzecią zbudował karczmę i złodziejem obsadził. Nie wiem czy prawda; tak się przynajmniéj djabeł przechwala.

Ależ niechaj nie uprzedzam zdarzeń, zacznę porządkiem: — 1841 roku 20 maja.

Dzisiaj o godzinie 9 rano, po wysłuchaniu mszy św., po tkliwém pożegnaniu się z ukochaną i drogą mi żoną, po szczerém uściśnieniu przyjaciela, po grzecznych ukłonach dla znajomych, natuliwszy czapkę na uszy, siadłem na bryczkę, obok mnie mój pokojowiec Pawełek, na koźle woźnica Grzesio, i ruszyłem z Mazowieckiéj ulicy trójką spokojnych koników. Na Wierzbowéj, na Trębackiéj — jeszcze ukłony, przed pocztą zapytanie: «dokąd jedziesz Guciu»? odpowiedź: «na wieś, robaczku».

Spuściwszy się wolno i ostrożnie przez Bednarską ulicę, przystanąłem przed mostem, aby się opowiedzieć, zkąd i dokąd jadę. Na moście stępem, przez Pragę truchteczkiem, — aliści przy rogatkach znów: «zkąd? dokąd? ile ludzi? ile koni? na długo? — jedź pan z Bogiem». Jakoż wyjechałem istotnie na zwirowy gościniec.

W każdém innem miejscu byłbym przedewszystkiém rozdziawił gębę po świeże powietrze, byłbym się zagapił w piękność przyrodzenia, byłbym miarkował, zkąd wiatr wieje, — czyli w rozpoczętéj podróży pogoda sprzyjać będzie czy deszcz przywita; — kto naprzeciw mnie, kto za mną jedzie i idzie; jakie mijam domy, ogrody, zagony, łąki, rzeczki, lasy, góry i doły, — ale tutaj teraźniejszość stała się dla mnie obojętną, bo przeszłość całą myśl owładła.

Dopiéro w Miłośnie pocztarska trąbka i turkot

ogromnéj karety żałosne przerwały marzenia. Grzesio przystanął dla napojenia koni; Pawełek zeskoczył, iżby mu dopomódz; ja naładowawszy fajeczkę, wstąpiłem do szynkowéj izby po ogień.

Ściany brudne, ławy i stoły brudne, baba nalewająca gorzałkę jeszcze brudniejsza; — kilku nędznych, *bardzo nędznych* chłopów; — kilku drapichróstów do rozbojów podobnych, trzy ciury od furgonów wojskowych, dwóch kozaków na patrolu, i małe dziewczątko przysłane po gorzałkę od kowala; — psy, śmieci i błoto, kieliszki i flaszki, obrazy świętych i sławnych ludzi, — których przez szyby, zapstrzone pomiotem much i pająków rozpoznać nie było można; — węgle przysypane popiołem na kominie, przy których siedział kot z przypalonym włosem, z krótko uciętym ogonem, z iskrzącemi się ślépiami, — oto całość, jaką jednym rzutem oka pochwycić mogłem *). Zapaliwszy fajeczkę oddaliłem się spiesznie. Przez kilka godzin dalszéj podróży nie schodził mi z oczu ów czarny kot, — i już wtenczas wpadałem na domysł, ażali to nie jest djabeł w pożyczanéj postaci, który pilnuje sposobności podsłuchania rozpaczającéj duszy, aby z nią wejść w układy. Zdrowy rozum, mówiąc górniéj: wiedza z absolutnego stanowiska myśli takowéj do komórki przekonania wpuścić nie

*) Dzisiejszy stan téj karczmy zupełnie jest odmienny, bo wzorowy porządek dawną nieczystość zastąpił, — kot tylko często jeszcze na kominie siada.

chciała, — gdy w tém pękło tylne koło u bryczki, i Grzesio i Pawełek i ja, a za nami tłomok z pościelą i worek z obrokiem, rzeczy żyjące i nieżyjące, — wysypaliśmy się na ziemię.

«A! czy djabeł nam w oczy zajrzał? czy jaka baba urzekła»? wymówił Grzesio, żegnając się trzy razy.

— Nie opatrzyłeś bryczki, mazgaju, i teraz na djabła spędzasz.

— «Nietylko żem, wielmożny panie, opatrzył, ale i kowal i oto pan Pawełek, oglądaliśmy ją wczoraj; wszystko było mocne, i nikaj ani jednéj szruby nie brakowało; koła zaś są przecież nowusieńkie, boć je dopiero na Św. Wojciech kołodziej zrobił».

— No gdzież tedy ten djabeł siedzi, co nam bryczkę zepsuł? — chyba u ciebie pod czapką, bo się w głowę skrobiesz.

Pawełek śmiejąc się zęby pokazał, a Grzesio szukając toporka i postronka, smutno odrzekł:

— «Panowie nigdy człeku prostemu nie wierzą, a jednakże ja łońskiego roku djabła na jarmarku widziałem, jak się kłócił z dziadkiem, który głośno śpiewał różaniec: było to przed wotywą, ludzie poczęli się do kościoła gromadzić»...

— No patrzajcie go, on mi będzie bajki prawił a ja będę słuchał; — poszukaj oto lepiéj dębczaka albo brzozy wiśnéj i przywiąż pod nasadę — trzeba nam się do wsi jako tako dostać, boć tutaj nocować nie możemy.

Zamilkł stary Grzesio, wykonał mój rozkaz. Pawełek włożył na bryczkę rzeczy i strzaskane koło i już mieliśmy ruszyć z miejsca, kiedy gaduła obejrzawszy się na stronę zawołał:

— «A juści że nam djabeł tę szkodę wyrządził, czy jegomość nie widzi?... (Wytrzeszczam oczy, ażali nas kot z Miłosny nie goni). Ot drogi krzyżowe, a figury poganie nie postawili! — jakżeż się tu nieszczęście przydarzyć nie ma; wszakżeż on wszetecznik najbardziéj na rozstajnych drogach wojuje».

— Mój Grzesiu! jak pojedziesz z powrotem do domu, dam ci pisanie do księdza proboszcza, aby cię objaśnił, kiedy mi wierzyć nie chcesz, że djabłów nie ma na świecie, — tymczasem ruszaj z miejsca, chyba chcesz, abym ja wziął lejce do ręki.

Splunął Grzesio na miejsce, gdzie się bryczka wywróciła, zaciął koni i szedł w milczeniu. Droga, na którąśmy zjechali, była piaszczysta, kamieni i korzeni w kolejach pełno; wolno więc wlekliśmy się już przeszło godzinę, gdy wreszcie ujrzeliśmy ponad polem małą karczemkę z zajezdną stajnią.

— «Daleko ztąd do Siennicy»? — zapytałem chłopka, jadącego do lasu po drzewo.

— Będzie pół mili.

— «A przy téj tutaj karczmie jest kowal»?

— O dwoje staj w tamtéj wejno wiosce mieszka dobry majster, ale tam nie ma zajezdnéj stajni, potrzeba będzie wielmożnemu panu w karczemce popaść, a koło do wsi posłać.

— «Bóg zapłać przyjacielu, pono usłucham waszéj rady».

Wjechaliśmy do roztwartéj stajni: kury i koguty odbywały po żłobach rewizyą, — kaczki i gęsi czyniły na gnoju agronomiczne poszukiwania, a kilkomiesięczne, pstrokate ciele stało zamyślone na środku. Trudno się czego od cielęcia dowiedzieć: — kury, koguty, kaczki i gęsi za naszém przybyciem pouciekały; świegotał wprawdzie wróbel na belce, patrząc przez dziurę w dachu na słońce, alem go nie rozumiał; udałem się więc do izby. Lecz i tutaj nie było się z kim rozmówić, bo usmolony dzieciak w kołysce tak się zajadł w garnczek ziemniaków, iż mojéj obecności wcale nie spostrzegł, a chociażby był i spostrzegł — dwuletni, jakąż mógł mi dać wiadomość o sianie, którego dla koni potrzebowałem? — Któż wyrazi moje przerażenie gdym na przypiecku burego kota zobaczył, który mi się z niezwyczajną przenikliwością przypatrywał. — «Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus«! zawołałem głośno; — kot z wyraźną niechęcią zsunął się za piec, dziecko się przelękło i płakać poczęło. We drzwiach komory ukazała się czterdziestoletnia osoba płci żeńskiéj, któréj w żaden sposób białogłową nazwać nie mogę, bo była tak mocno śniadą i ogorzałą, iż rozumiałem, żem spostrzegł murzynkę.

— «Można tu popaść, czy dostanę siana, chleba, masła, piwa»?

— Dostanie wielmożny paniczek wszystkiego,— odrzekła cyganka, szynkarka i gospodyni domu.

— «A nie masz kogo posłać do kowala»?

— Oj chyba że nie, mój mąż pojechał z synem do miasta, sama tylko zostałam w domu.

Rozkazawszy dać siana dla koni powróciłem do stajni, aby Grzelę do kowala wyprawić.

Grzesio zły, iż koło tak daleko dźwigać będzie, poszedł upomniany, aby spieszno wracał. Ale minęła godzina druga, trzecia, szósta, siódma i ósma, deszcz zaczął padać, ściemniło się; dowiedziałem się od cyganki, że 400 złp. płacą suchéj arendy; że jéj mąż niesłusznie oskarżony o kradzież koni, które przypadkowo przyplątały się do ich domu, dzisiaj ma termin w sądzie policyi prostéj; że źli ludzie powiedzieli, jakoby ich syn w pobliskich wioskach wszystkie kury wyłapał; że wódkę do miasta podwożą; że przechowują podejrzane osoby; i że wiele innych potwarzy wymyślili sąsiedni karczmarze, a to wszystko przez zazdrość... — już mi się i słuchać sprzykrzyło, a Grzesia jak nie widać tak nie widać. Zniecierpliwiony — właśnie miałem wysłać Pawełka po wiadomość, co się z Grzelą stało, gdy wreszcie przylazł oczekiwany. Koło było sporządzone, ale język i nogi Grzesiowe zaniemogły, bo doszedłszy do celu, zatoczył się i oparł o bryczkę, mrucząc pod nosem:

«Panie majster, do wasana»! potém się otrząsnął, potém w urywanych wyrazach łajał kogoś, że kartoflówkę sprzedaje, — potém się rozśmiał

chwaląc szumówkę ze żyta, — potém wymówił *pianissimo* «naléj, asani, jeszcze jednę kwaterkę», upadł na ziemię, chrapnął i natychmiast zasnął. Wskazawszy Pawełkowi brzydkie skutki pijaństwa, rozkazałem mu, aby worek ze sieczką pod głowę Grzeli położył, aby go derą okrył, aby o koniach pamiętał, i aby tłomok z pościelą zniósł do izby, bo o odjeździe ani myśleć było można.

Tymczasem do karczmy zaczęła się schodzić rozmaita gawiedź, a wszystko drab w draba z lagą w ręku, — zarosłe, barczyste, ze spojrzeniem ponurém, — a każdy mnie zmierzył od stóp do głowy. Powrócił i gospodarz z miasta z synalkiem i trzema żydami; zaczęli grać na katrynce; zjawiło się kilka podejrzanych kobiet, na kominie smażyli kiełbasy, kiszki, — kwaterka szła z rąk do rąk, — a kot na samym zrębie pieca mruczał i warczał i kręcił ogonem; — dziecko wyniesione do komory, ciągle bez najmniejszéj przerwy płakało.

Pawełek, który już przyniósł tłomok i siana pod oknem rozesłał, obejrzawszy się po izbie nieznacznie szepnął mi do ucha: «Panie! deszcz przestał padać, możnaby daléj jechać, jabym powoził». Nie odpowiadając Pawełkowi zawołałem na gospodarza: «O godzinie 10 niechaj w twojéj gospodzie wszystko się uciszy, ty zaś, stary złodzieju, ze swoim synem łapikurą, będziecie spali w stajni, która żadnego nie ma zamknięcia; a jeżeli mi konie ukradną, albo jedna słomka z bryczki zginie, każę cię jutro okuć w kajdany, z których cię za

życia sam djabeł nie rozkuje». Poczém wziąłem do ręki dwururną strzelbę i dwa zamki odwiodłem.

— «Pawełku! gdy fury nadjadą, niechaj się ekonom do dnia zatrzyma».

— Dobrze, wielmożny panie! — odpowiedział nie w ciemię bity Pawełek, — ja im też mówiłem, że w téj tutaj karczmie czekać na nich będziemy.

Gospodarz i jednego nie odrzekłszy słowa skinął na syna, wziął na się kożuch i wyszedł. W pięć minut, prócz mnie, żyjącéj duszy w izbie nie było. Położyłem się; świeca paliła się na ławie, tuż przy mnie stała odwiedziona dubeltówka, stary kordelas wydobyty ze skórzanéj pochwy leżał pod ręką. Może już z pół godziny rozmyślałem, czyli przedsięwzięte środki ostrożności są dostatecznemi, gdy na raz oczy moje zbiegły się ze ślepiami kota, który z pokorną miną zbliżał się do mnie; — śmiertelny dreszcz przeszedł członki moje, mimowolnie wrzasnąłem: «Jezus Marya»! Kot chycnął na przypiecek, Pawełek wpadł do izby z potężnym drągiem.

— «Czego chcesz»?

— Pan wołał.

— «Chyba ci się przyśniło, przetrzéj oczy i połóż się na bryczkę».

Pawełek odszedł, jam wstał, bo widoku roziskrzonego kota dłużéj znieść nie mogłem. Biorę kordelas i posuwam się do pieca, — owa bestya kot nasrożył się, parschnął na mnie tak smrodliwie, iż rozumiałem, że kot smołę z dziegciem na

izbie zapalił. W téj chwili przypomniało mi się opowiadanie Grzeli, i przybiegła myśl: «A gdyby też to był djabeł»?...

Malcem jeszcze będąc słyszałem od starych ludzi że im także starzy ludzie opowiadali, jakoby od starych ludzi słyszeli, że, jeżeli kto ma wiele w sercu odwagi a podejrzaną istotę odczarować chce w naturalnego djabła albo w inną postać, winien jedynie szybko na wszystkie cztery strony świata bez świadków zawołać:

«Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable»! i że wówczas, *nietylko* że się djabeł pokaże w naturalnéj postaci, *ale* jeszcze wszystkie rozkazy tyle śmiałego człowieka wykonywać, na każde zapytanie najszczerszą prawdę odpowiadać i na jego usługach tak długo pozostać musi, dopóki ta sama osoba, która biesa zarzekła, nie wymówi również na cztery części świata tychże samych wyrazów na wspak; ale że przytém takiemu śmiałemu człowiekowi należy za każdą razą wyraźnie się przeżegnać.

Otóż gdy bestya kot z miejsca się nie ruszał, jakoś szczęśliwie przypadło mi na pamięć owo zaklęcie i jeszcze inne figle na djabła; — bez najmniejszéj jednakże wiary w takowe gusła, nagle i szybko, na wschód, zachód, południe i północ, co tchu starczyło, krzyknąłem:

«Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! pokaż się djable»! — i przeżegnałem się.

Patrzę przed siebie, — kota nie widać, jeno

słyszę, że się coś kominem łomocze, — i któreż pióro określi mój przestrach i nadzwyczajne podziwienie?... Bies, sobaka, w najnaturalniejszéj postaci wypadł na węgle.

Najszanowniejsi czytelnicy! wszystkie powiastki o djable na krogulczych albo na bekasich nóżkach, w kusym fraczku, w trójgraniastym kapeluszu mogły was rozśmieszyć, — ale niechajby który z was był zobaczył pod ową chwilę rzeczywistego biesa, jak na krowich kopytach, z ogromnym kałdunem, z długim ogonem, z potwornym łbem rogatym z komina się stoczył i ku mnie przystąpił, o sto przeciw jednemu zakładam się, że żaden z was, czcigodni literaci, nie dotrzymałby był placu, — a ja, panowie, anim się z miejsca ruszył!... Lecz pocóż się przechwalać; byłbym i ja drapnął, ale mi nogi stężały, a ząb o ząb klekotał jak na tartaku; i gdybym był w stanie trzęsące się usta do posłuszeństwa nakłonić, byłbym bezzawodnie coprędzéj na wspak odgadał, com lekkomyślnie przed chwilą wymówił; bo jakkolwiek już nieraz śmierci śmiało zajrzałem w oczy, to jednakże z djabłem w jego naturalnéj postaci bezpośrednio nigdy nie wojowałem; i z téjto przyczyny, oczy i uszy obiedwiema rękami zatkawszy, com tylko pobożnych modlitewek umiał na pamięć, recytowałem z taką skruchą i pokorą, jak nigdy w życiu mojém, — gdyż to nie darmo przysłowie: „kiedy trwoga to do Boga»! Ulitował się też Bóg dobrotliwy nad biédą moją, bo po chwili wróciła odwaga, otwo-

rzyłem oczy i patrzę — a pan djabeł siedzi przedemną w kuczkach, i drżąc skurczony płacze jakoby żak szkolny, gdy mu nauczyciel ośle uszy na głowę wkłada. Jeszczem zupełnie do przytomności nie przyszedł, ale gdy bies pokornie się ozwał: «Cóż, jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony, najoświeceńszy panie i dobrodzieju, rozkazać najłaskawiéj raczysz»? — wtenczas dopiéro poczułem się od razu dawnym zuchem, i zażywszy tabaki daléj w rozmowę:

— Czy to waść był kotem? cóż waść tu porabiasz? na co waści sadze wycierać? dokąd się waść tak spieszysz?... kiedy przed chwilą jeszcze na kordelas, mospanie, nie aprendowałeś, a teraz stoisz jak błazen i tytułujesz mnie od jasnych do najoświeceńszych panów i dobrodziejów.

— «Wszystko jaśnie oświeconemu panu dobrodziejowi będę w stanie wytłómaczyć i wszystko objaśnić; racz tylko, najoświeceńszy panie, swoje pierwsze wyrazy na wspak wymówić, bo bez tego jest mi niepodobieństwem zebrać zmysły moje».

— Hola, mości biesie! mnie kaszy szydłem jeść nie uczono i wiem to bardzo dobrze, że żądanie twoje na ten a nie inny cel wystósowałeś, abyś mógł czmychnąć, — ale wasza djabelska mość przeczekasz się troszeczkę, zanim go z usług moich odprawię. Ja jestem ciekawy i spodziewam się od waszmości wiele rzeczy dowiedzieć. Żeby mnie zaś asindzi nie obełgał, oświadczam, że najmniejsze kłamstwo surowo ukarzę.

— «Ja, najoświeceńszy panie, prawdę nad wszystko miłuję, i jak honor kocham»...

— Spiriantus! nie żartuj ze mnie, bo cię natychmiast święconą wodą pokropię.

Djabeł zatrząsł się, kudły mu kołem stanęły i zgrzytnąwszy zębami z rezygnacyą rzekł:

— «Pytaj, o co chcesz, panie, — stało się! widzę, żem nieszczęśliwy i że moja cała nadzieją w dobroci serca najoświeceńszego pana».

— Bez tych tytułów, bardzo proszę; zemną można poufale; szczerością i otwartością więcéj wskórasz, aniżelibyś pochlebstwem zyskać mógł. Masz, Belzebubie, rozum i węch dobry, zapewne zwietrzyłeś, że ja żartować nie mam zwyczaju.

Dobywszy z pod poduszki szkatułkę wyjąłem z niéj papier, atrament i pióra, zapaliłem fajeczkę; objaśniłem świecę, i siadając za stołem rozpocząłem następujący egzamen:

— Zkąd waść rodem?...

— «Z Warszawy, panie dobrodzieju».

— To waszmość Mazur; nie potrzebujesz przeto wzorem niemieckich, włoskich lub francuskich Mefistofelesów kręcić i majaczyć, ale winieneś gadać, jako polski djabeł, śmiało i otwarcie.

— «Tak, panie dobrodzieju, tylko że to już nie każdemu dzisiaj się podoba, a nawet zupełnie z mody wychodzi»...

— Głupi waść ze swoją modą. Gdzież waść do szkół chodziłeś?

— «Panie dobrodzieju! do żadnych szkół nie

chodziłem, mama trzymała do mnie guwernera Francuza».

— Więc waść umiesz po francusku?

— *„Oui, Monsieur, et si vous permettez, je m'expliquerai en francais, parceque cette langue est la meilleure por expriner nos sentiments“.*

— Za pozwoleniem, będziemy się po polsku romawiali: waśćby mnie oszołomonił dwuznacznością frazesów nadsekwańskich.

— *„Vielleicht ist Ew. Excellenz der deutschen Sprache mehr geneigt und werden gnädig geruhen“...*

— Nie, mój djable, mnie najmiléj po polsku, i jeżeli wasza czartowska mość w obcéj mowie smakujesz, znajdziesz inną razą wielu zwolenników do takiéj przyjemności: w rzeczy zaś, jaką my mamy przed sobą, nie widzę żadnéj potrzeby cudzoziemców przybierać na pomoc, kiedy się naszą krajową mową rozumieć możemy.

— «Jednakże jest to piękną rzeczą odznaczać się od gminu, i radziłbym panu dobrodziejowi»...

— Słuchaj, biesie! jak mi jeszcze raz w mojéj obecności wyraz «gmin» powtórzysz, zaraz, ale to natychmiast pokropię.

— «Przepraszam, najuniżeniéj przepraszam, nie znałem nowszych przesądów pana dobrodzieja».

— Więc ty to przesądem nazywasz? — przekonywam się, że ciebie najsprawiedliwiéj porwano do piekła.

— «Panie dobrodzieju! ja sobie tam nie przykrzę, znalazłem mnóstwo przyjaciół i dobrych zna-

jomych; mamy swoje zabawy, — nasze wyobrażenia nie znajdują przeciwników, a nadewszystko jest zastósowanie się do etykiety i do dobrego tonu».

— Pierwszy raz słyszę, żeby w piekle dobry ton panował.

— «O, panie dobrodzieju, dobry ton przekładamy nad wszystko»!

— W jaki sposób przyszedłeś waść do tego zaszczytu, żeś djabłem został?...

— «Ja istotnie sam nie wiem, — żyło się podług prawideł świata, podług zasad przyjętych przez większą część ludzi: — bywało żem się ściśle nie trzymał nudnéj moralności, że w drażliwych okolicznościach unikałem błędnego uporu tak zwanéj cnoty, — ale iżbym popełnił jakie głupstwo nie przypominam sobie.

— Zapewne zamiast przykładania się do prawdziwego dobra ogółu, o sobie tylko pamiętałeś i to z krzywdą ubogich, nieszczęśliwych; łzy cierpiącéj ludzkości nigdy w sercu twojém politowania nie wzbudziły...

— «Ja żyłem dla siebie, wyłącznie dla siebie, wesoło i przyjemnie».

— Więc samolubstwo i rozwiozłość...

— «Tak, po części; przecież głównie jeden z moich czynów, — którym się i w piekle brzydzili»...

— Rozumiem; ale powiedz mi, jakiéj manipulacyi użyto do wpisania waszeci w poczet djabłów?

— «Tego się, panie dobrodzieju, nie godzi wyjawiać».

— Ale ja bardzo proszę.

— «Nie mogę, na uczciwość nie mogę».

— A to błazen z jego djabelską uczciwością. Czy rozumiesz, że ja z siebie drwić pozwolę? Aby cię przekonać co umiem:

«Spiriantus szołder ad tuum inclitum»...

— «Najpotężniejszy dobrodzieju stój! stój! na miłość rodzicielską ojca i matki twojéj zaklinam cię, stój!... brrrm! o ja nieszczęśliwy! powiem, zaraz powiem, o cóż mnie to, najoświeceńszy panie, pytałeś? pamięć ze strachu straciłem».

— Pytałem się ciebie, w jaki sposób do piekła się dostałeś?

— «Tak było: konając uczułem nadzwyczajne bóle; zdawało mi się, że żywot mój szarpią padalce i żmije, że serce, które całe życie było bryłą lodu, w chwili ostatniéj płonie nieugaszonym ogniem. Sumienie z piersi wbiegło do mózgu i z rozpaczą czyniło zarzuty rozumowi, który przed chwilą jeszcze wszystkie czyny moje pochwalał; dusza oblana śmiertelnym potem, skurczona i drżąca jęczała okropnie, a jakieś ciemne obrazy trupiemi kośćmi snuły się przed memi oczyma grożąc i złorzecząc; — wtém przez bluźniercze usta, rozpychając gardło rogami wpadł wewnątrz mnie kum djabeł, a ująwszy duszę zębami zgrzytnął, świstnął i wyleciał przez komin. Deszcz lał strumieniem, wiatr wył przeraźliwie; przez pokłady srebra i złota z szybkością piorunu spuszczaliśmy się na dół; ani gwiazd, ani księżyca, ani słońca nie widziałem

więcéj, grobowa ciemność osłaniała nas zewsząd. Dopiéro czwartego dnia, podobno, że już u was na ziemi trzeci raz kur zapiał uczułem nadzwyczajny upał, gorąco i żar. Mój przewodnik zawył radośnie, żelazne bramy zaskrzypły i śród pisku i wrzasku dusz smażonych w kotłach wrzącej smoły stanęliśmy przed Lucyperem. Przez 9 lat gotowano duszę moję w osobnym tyglu, przez rok moczono ją w occie siedmiu złodziei, a następnie wyprawiono mnie na ziemię, w moje rodzinne strony, abym pełnił służbę podług co miesiąc odnawianych rozkazów. Spotkałeś mnie pan dobrodziéj, na moje nieszczęście, w téj tu karczemce, spisującego kreski przekleństw, złorzeczeń i bluźnierstw w morze występków tonących ludzi; gdy liczba dojdzie do 777, — dziedzica, który na 17 włókach ziemi trzecią karczmę postawił i złodziejem obsadził, mam żywcem porwać do piekła, bez odnoszenia na sądy, bo on już dawno osądzonym został».

— Powiedz mi waszeć, cóż to za kot, który dzisiaj w Miłośnie siedział na kominie?

— «Jest to mój brat djabeł».

— Czyli w każdéj karczmie macie swoje patrole?

— «W każdéj, panie dobrodzieju! gdzie tylko kropla gorzałki, jeden z nas być tam musi».

— A w lesie, gdzie mi się bryczka złamała, czyli waść także albo który z jego kolegów był obecny?

— «Nie, panie dobrodzieju! to zwyczajny wypadek i nic więcéj; możeś pan dobrodziéj uważał,

że Grzesio na Pradze zawadził o brykę furmańską, przez co osłabił koło i piasty nadłupał, ale te gapie na nas tylko każde złe spędzają».

— Objaśnij mi teraz, Belzebubie, dlaczego się szczególniéj karczmami opiekujecie.

— «O, bo widzi pan dobrodziej, w karczmie bywa zawsze wesoło, napotyka się najczęściéj dobrych znajomych, — i jakoś pod dachem nie tak się nudzi djabłowi».

— Spiriantus! gadaj zrozumialéj! chyba, że koniecznie chcesz, abym cię skąpał.

— «Jabym jaśnie wielmożnemu panu krwi z mojego palca usączył, tylko się pan dobrodziéj nie odgrażaj, — i racz mnie najłaskawiéj inaczéj nazywać, bo ten wyraz «Spiriantus» jest dla każdego uczciwego djabła bardzo nieprzyjemnym; nie uwierzysz pan dobrodziéj, jak podobna obelga niszczy wszelką życzliwość i odbiera chęć wszelkiego wysłowienia się».

— Biesie, gadaj bez żadnych wybiegów, bez długich korowodów, — to na nic ci się nie przyda: ja nie podług twojego djabelskiego zapatrywania się na rzeczy, ale podług sądu zdrowego rozumu ludzkiego chcę mieć każdy przedmiot, o który się ciebie spytam, jasno, zwięźle i zrozumiale wytłomaczonym.

— «Więc byłbym przymuszony odbiegać zupełnie od moich zasad, a w takim razie obraziłbym moje przekonanie, moje wyobrażenia — i ściągnąłbym na siebie surową karę Lucypera; wszakżesz

już za to, żem się dał panu dobrodziejowi schwytać i uwięzić, czeka mnie chłosta nielada».

— Masz wóz i przewóz; rozumiem jednakże, iż z Lucyperem szczęśliwiéj się ułatwisz aniżeli ze mną, bo ja krnąbrność twoję w jednéj chwili na najpowolniejszą szczerość zamienić potrafię, i jak się jeszcze jedyny raz w jasnych odpowiedziach wachać będziesz, żadne już twoje prośby nie pomogą, — a co cię czeka, zdaje mi się, żeś zmiarkował. Czy ty sądzisz, że ja tylko jeden mam na ciebie sposób?... mylisz się bardzo. Może życzyłbyś sobie zażyć kropli Asmodeusza...?...

— «O! nie! nie, nie, paniczku, nie, nie, ach mgło mi, mgło! cóż też jegomość zemną dokazuje».

— Ja cię, kądlu, otrzeźwię; gadajże, dlaczego się szczególniéj karczmami opiekujecie; a gadaj uczciwie.

— «Trudna rada, — objaśnię pana dobrodzieja jak najmoralniéj, jak najuczciwiéj: oto, ponieważ w gorzałce jest grób wszelkiéj waszéj moralności; przez gorzałkę, przez mocne trunki, przechodzi człowiek w stan zwierzęcy, brzydzi się pracą, unika towarzystw uczciwych ludzi, oddala myśl o swojéj duszy, o bliźnim; nie zastanawia się nad swojém przeznaczeniem, — i pijani popełniają najwięcéj występków i zbrodni. Dlatego starsi nasi bracia ustawicznie szepcą szlachcie w uszy: postaw karczmę! — bez pracy, za czystą wodę będziesz miał 500, 1000, 2000 do 3000 złp. rocznego zysku; po co wam sobie głowę łamać i mozolić nad staran-

niejszą uprawą ziemi, nad pilném hodowaniem użytecznych domowych zwierząt, nad przemysłem rolniczym; załóż szynk, osadź pierwszego lepszego urwisa bez sumienia, bez religii; nie troszcz się nigdy o to, ilu się chłopów przez rok zapije, ile tam bezpraw popełnią; — nie tamuj pijaństwa, ale je taniością gorzałki podniecaj, — a zyskasz pieniądze! pieniądze na zaspokojenie twoich urojonych potrzeb, na ekwipaże, na uczty, na biesiady, rozpusty, na blask twojego imienia! nie będzie zaiste ten blask trwałym: pierwsza burza zetrze pozłotę, okaże brudy, — ale *czasem* wystarczy i na całe życie».

— A w miastach, miasteczkach, z jakiejże pokusy tak liczne zakładają szynki?

— «Panie dobrodzieju! wszystko to nasza sprawka; od wyszynku, gdzie żydek na fanty anyżówkę w blaszane nalewa kwaterki, aż do rzęsisto oświetlonych sklepów, gdzie strojne dziewczyny poncz i grok witrijolowanym zaprawiają arakiem, aż do tych handlów win, które w rzemiośle wyćwiczony kiper przez różne zaprawy smaczniejszemi czyni, — wszędzie Lucyper wskazówką lekkiego zarobku wielbicieli złota do podobnych przedsiębiorstw zachęca, zniewala i z łatwością tysiącami ich znajduje. Kiedy budują narożnią kamienicę, już jeden z nas przed pokryciem dachu, zaczaja się gdziekolwiekbądź, chociaż w piwnicach, bo w tym domu chciwy grosza gospodarz, bez naszego wpływu, niezawodnie szynk założy. Na kamienicy narożnéj,

z kilku stron znaki wzywające, zachęcające, wywiesić można; z trzech ulic widzą czarujący napis: «wódka, araki, likwory», albo «handel win», albo «zimne i gorące napoje, herbata i poncz»; panie dobrodzieju 70 na 100 stracilibyśmy do roku, gdyby szynkowni nie było. Człowiek trzeźwy, przy największych błędach znajdzie chwile namysłu i zimnéj rozwagi; — przeciwnie, używający ostrych napojów, złorzecząc ludziom, jeżeli się jego zamysłom nie wiedzie, zawsze w odurzeniu, brnie na oślep losu w różne przygody. I kiedy trzeźwy, niestargany na siłach umysłu, wynajdzie prawdziwą przyczynę swoich nieszczęść i szuka na przyszłość w sobie samym źródła pociechy i poprawy, tamten, przypisując złe przeznaczeniu, opuszcza ręce i gnije bezczynnością, lub w występku spodziewa się znaleźć pomoc jedyną. Trunkami zbestwiona wyobraźnia chwyta najbrudniejsze żądze rozkoszy zmysłowéj, łatwego zbogacenia się — zaspokojenia cielesnych namiętności, podsycania ostygłych, stwarzania coraz to nowych przysmaczków dla skalanego serca, bo łańcuch występków snuje się w ręce ludzkiéj jak miękka nić jedwabiu, i dopiéro żelazne ogniwa zbrodni swoją ciężkością zwracają waszą uwagę, żeście się z nami zbracili».

— Aż miło słuchać, gdy prawdę mówisz... Powiedz mi Waści, czy już kiedy zastawiałeś na mnie sidła?

— «Ja pierwszy raz dopiéro mam szczęście poznania pana dobrodzieja, ale słyszałem od moich

kolegów, że cię nieraz za nos wodzili, zwłaszcza na imieninach, które lubisz serdecznie obchodzić».

— *„Nulla regula sine exceptione“* nie jestem święty, pamiętam dobrze, mości Mephistophelesie, że mi się zdarzyło w gronie kochanych osób zalać czuprynę, ale zawsze żałowałem żem się dał uwieść zbytniemu zapałowi, źle zrozumianéj przyjaźni, nagradzając błąd chwilowy gromiłem jawnie i publicznie pijaków. Lecz z innéj strony, nie pochwyciłże mnie który z twoich braci?...

— «Wiesz to pan dobrodziéj lepiéj odemnie, że ta płeć piękna często panu dobrodziejowi zawadza».

— Bzdurzysz, mój djable! nie zaprzeczam, żem się winą moich gorętszych uczuć dla płci pięknéj często potykał, ale to także niewątpliwą jest prawdą, że drugostronnie przez kobiety wiele zbawiennego zyskałem.

— «Pan dobrodziéj mówisz zapewne o swojéj najszanowniejszéj małżonce — oj! cnotliwe żony, te solą są djabłowi w oczach! Szczęściem dla nas, że takich nie nazbyt wiele; większa część swoją swarliwością przytłumia w mężu łagodniejsze uczucia, wymaganiem strojów wprowadza powolnego małżonka w długi, żądzą zabaw odrywa go od pracy i domowego życia, a niewiernością tworzy taniec djabelski, z którego my wielostronne odnosimy korzyści».

— Naucz mnie, jak wy to rozpoczynacie takie dzieło nieporozumienia małżeńskiego, które bardzo właściwie tańcem djabelskim nazwałeś.

— «Rozmaicie: kiedy dziewczyna w domu rodziców zły miała przykład, kiedy była wychowana bez bojaźni waszego Boga, — przy pierwszéj sposobności, bez najmniejszéj namowy przypnie łatwowiernemu jegomości ogromne rogi, a najgorzéj zacząć, to już brnie się coraz to głębiéj; — drugie wypadki, kiedy mąż żyje rozwiozle, żonę swoję lekceważy, poniewiera ją i unika jéj towarzystwa, natenczas słabych zasad istota chwieje się pomiędzy cnotą a fałszywą nadzieją uprzyjemnienia dni swoich, — sumienie wrzeszczy i upomina, aż mu gardło zaschnie, — tutaj, już my wysyłamy nasze przyjaciółki, szepną jedno, dwa, trzy słówka od niechcenia, — albo też przedstawią obszernie, w najpiękniejszém świetle liczne dobrodziejstwa, jakich one doznają, i nierozsądna ofiara zgubnéj i niecnéj przyjaźni przechyla się na lewo, upada — i zwykle, z bardzo małym wyjątkiem na naszą własność przechodzi. W trzecim rzędzie mieszczą się te przemądre niewiasty, które przez spaczone i najbłędniejsze rozumowania dochodzą do tego stopnia, że wiarę mężowi za bigoteryą uważają; choroba takowa nigdy uleczoną nie bywa, ich dusze stają się najmilszą naszą zdobyczą. Czwarty a najliczniejszy rodzaj, są to te gąski, które każdemu słówku zalotnego młodzieńca ślepo wierzą: powie jéj pierwszy lepszy gawron, że bez niéj żyć nie może, onaby z czułości swojego Boga się wyparła; — przyjdzie wymuskana lalka z mlecznym wąsikiem i wyrzecze z westchnieniem,

że piękniejszéj istoty nie widział na świecie, że jest czarującą, że zachwyca i zniewala zarazem, że bóstwa jest obrazem, — gąska łzy leje, odpisuje na bileciki, nie może się wstrzymać, aby nie stanąć w umówioném miejscu, — zapomina o wszystkich obowiązkach i lgnie jak mucha na lep; — dopiéro, gdy ją lekkomyślny zwodziciel porzuci, gdy ją zniesławi, gdy nią cnotliwy mąż pogardzi, gdy ją odepchnie od siebie, gąska widzi się w przepaści najczarniejszych następstw, rozpacza, na bezdrożu znajduje nas z pociechą, stokroć okropniejszą od jéj dawniejszych występków. Za takie gąski nie wiele nam Lucyper nagradza, — bo to lekki towar; w piekle obok należytéj a często powtarzanéj chłosty używają je do kuchni, do prania i do tym podobnych posług: młode biesy mają z nich jedyną zabawę, trąbiąc im ciągle w uszy: «Pani jesteś bóstwem, pani jesteś królową! różą! perłą! kolibrem! sylfidą! — kibić pani jest morzem upojenia! oczy sztyletem! — i niezliczone jeszcze głupstwa i brednie. Trafia się czasem, że gąska jest uparta i nieco roztropna, słówkom nie wierzy, biletów nie przyjmuje a jednakże przy wszelkiéj ostrożności chętnie widzi wielbicieli, — w tym razie posyłamy szczwanego lisa, najprzewrotniejszego zalotnika. Takowy panicz zawiera nibyto szczerą przyjaźń z mężem, względem pięknéj gąski długo zostaje obojętnym, nie chwali wdzięków, nie czyni uprzedzających grzeczności, — gąska się gniewa, czuje się jakoby upokorzoną,

pragnie pokazać, że na nią bezkarnie patrzyć nie można — i bez wiedzy, co czyni, stara się podobać przyjacielowi jéj męża, my też rozmaitemi drogami dmuchamy na tę początkową iskrę próżności niewieściéj. Zwolna szpak, pod osłoną przyjaciela domu, zaczyna się mięszać do szczegółowych spraw małżeństwa: — staje się uprzejmym dla pani; łaje męża, sprowadza takie okoliczności, w których może coś niekorzystnego o jegomości powiedzieć, przezornie odsłania jego słabą stronę i krętą ścieżką zyskawszy ufność, przyjaźń, miłość ostrożnéj gąski, wyprowadza ją w pole podłości, na którém my jéjmość już naszę chwytamy. Znudziłbym pana dobrodzieja, gdybym miał wszystkie odcienia łatwowierności kobiet wyliczyć, — próżność jest ich bożyszczem, przez próżność popadają one w nieskończone błędy, śmieszności, aż do występków i zbrodni. A cóż dopiéro rzec o wielkich paniach, o białogłowach z wielkiego świata, o tych istotach, które napuszone zaszczytami swych mężów, rozumieją, że im wszystko wolno, że rzucając okrawki zbywające od przepychu i zbytków na jałmużnę dla nędzy, albo na pobożne podarki, — że przez to lekką w ich mniemaniu winę, — winę wiarołomstwa dostatecznie zmazały; my ich też z takowego błędu nie wywodzimy, owszem rozmaitemi sposobami utwierdzamy je w tém przekonaniu, że im wszystko wolno. Pan dobrodziej nie uwierzysz co to dla nas za rozkosz, gdy taką magnifikę ubrylantowaną, w blondynach, w aksa-

mitach, wprowadzamy do piekła, o! wtenczasto jest sposobność popisania się z naszą kawalerską galanteryą: jeden odbiera szal, drugi podaje lornetę, trzeci częstuje lodami, piąty pieści się z angielskim wyżełkiem pani hrabiny, — sam Lucyper kłaniając się zapewnia, że jaśnie wielmożna pani prześlicznie wygląda, rozmowa toczy się w francuskim albo w angielskim języku — dopiéro gdy dyżurny djabeł nadejdzie i schwyci jaśnie panią za barki i wlecze ją do kotła, wówczas śmiech i hałas wszczyna się pomiędzy nami. Jak za życia w strojach i w przepychu jedyne znajdowała upodobanie, tak ją téż z brylantami, z blondynami, z aksamitami, pakujemy w kocioł, — ale zawsze ma się wzgląd na delikatność nerwów, i kocioł nalewa się nie gminną smołą, ale terpetyną i rozpuszczonym ołowiem, — taka mieszanina kipiąc i sycząc przejmie wskróś chociażby najzuchwalszą duszę».

— Dla czego wy się tak osobliwie nad niemi pastwicie?...

— „Dlatego, że one miały pole dobrze czynienia, ich umysł nie był grubą niewiadomością pokryty, znały one, co złe, co dobre, ale zbytkiem przetuczone panie zapomniały, że godność ziemska od kary za zbrodnie nie zasłania».

— A cóż angielski wyżełek winien, że go z panią do piekła przynosicie?

— «Piesek istotnie nic nie winien; prawda, że częstokroć za kosztowną żywność bezużytecznéj

sobaczki mogłaby była pani hrabina niejednego nędzarza zgłodniałe dziecię nakarmić; prawda, że on przez swoje przymilenia się i licho wie, jakie posługi, odwodził serce swéj pani od uczuć ludzkich; jednakże zważając, że to jest bezrozumne zwierzątko, kary nań nie wymierzamy, — tak sobie chodzi po piekle, dopóki który z nas w postaci dandego nie wyjeżdża na ziemię do odgrywania wskazanéj mu przez Lucypera roli błazeńskiéj, wówczas zabiera się i piesek».

— Dobrze, żeś mi wspomniał — jaki też jest twój sąd o naszych dandych?

— «Nie warto, panie dobrodzieju, i śliny fatygować; nadto na mnie już czas, — powiedziałem jaśnie wielmożnemu panu szczerą prawdę we wszystkiem o co się zapytać raczyłeś, nie skłamałem ani słówka, zgrzeszyłem przeciw Lucyperowi niepospolicie; — spodziewam się więc, że pan dobrodziéj na ten raz mnie uwolnić raczy, a ja w każdém zdarzeniu stawię się bezzawodnie na rozkazy jaśnie wielmożnego pana, i żeby pan dobrodziéj nie myślał, że tylko obietnicami łudzę, daję słowo uczciwego djabła»...

— Czyś zwaryował, czyś pijany?!

— «O nie, panie dobrodzieju! ja prócz jednego kubka smoły nic dzisiaj w ustach nie miałem, ale jutro umiera o 40 mil ztąd były adwokat, który trzem wdowom wydarł ich całe majątki: który 20 sierót pozbawił najpewniejszych kapitałów zniosłszy się z ich opiekunami: który nigdy, chociażby szło

o szczęście całego życia jego klienta, nie ukończył sprawy w jednym roku, ale ją rozciągnął na lat 2, 3, a czasem na lat kilkanaście; naśmiewał się ze swoich kolegów, którzy w obronie pokrzywdzonych niebiańską znajdowali rozkosz, którzy z niewiadomości i z nędzy bliźniego korzystać nie chcieli, którzy w mętnej wodzie ryb nie łowili, ani też nie znali tego łotrowskiego przysłowia: «drzyj łyka, póki się dadzą», — a i w domowém pożyciu był niegodziwcem i hultajem, jakich mało. Jego duszę mnie rozkazano zanieść do złotego obłoku, — pewny jestem, że ją i do piekła odniosę, bo ile razy nam przewóz duszyczki powierzają, nigdy takowego towaru nie zatrzymują w niebie, — jedyny raz tylko nie oddano mojemu koledze duszy pijaka, który pomimo mnóstwa grzechów od mąk piekielnych uwolnionym został, a to przez zasługę, że był prawdziwym poetą — i swoją poezyą zapalił w łonie całego narodu żądzę cnót wielu. Lecz mniejsza tam o jednego, wielki poeta na sto lat wystarczy, a tych gryzipiórów, bazgraczy, tandeciarzy, kopami bierzemy do piekła: głupcy niemoralność w głupsze od nich głowy najczęściej zaszczepiają».

— Więc waszmość znasz się i na literatach? a w to mi graj! takiéj posługi szczególniéj potrzebuję. Pokażę ci kilku autorów na wsi piszących, objaśnisz mnie z ich zdolnościami; w Warszawie spiszesz mi z treściwém objaśnieniem całą czeredę płci męskiéj i żeńskiéj do sławy autorskiéj prawo

sobie roszczącą; radbym niemniéj mieć od ciebie sprawozdanie literackie z Poznania, z Krakowa, ze Lwowa, z Podola, z Ukrainy i z Wołynia, z Wilna i ze Żmudzi, zgoła z każdego zakątka, gdzie tylko naukowa fermentacya obecnie się pojawiła.

— «Mniejsza o to; znam ja miejscowe jeniusze naszego stulecia bardzo dobrze; w odleglejszych okolicach moi koledzy poinformowaliby mnie bezwyjątkowo o każdym autorze najdokładniéj; — nadto, ze wszystkimi pisarzami romansów jestem w ścisłéj przyjaźni, często zdarzy mi się, że śmielsze ustępy poczynającemu powieścio-pisarzowi sam skreślić muszę i w przedmiotach wyłącznie historycznych, autorom pomocnym bywam; — o gorzelnictwie, o zastósowaniu wywarów na karmę dla ludzi roboczych, to ja, panie dobrodzieju, pisałem; — każdy system filozoficzny potrafię panu dobrodziejowi przenicować, na jaką chcesz panie barwę, jakkolwiek nie przeczę, że czysta filozofia wyrządza nam, panie, psoty bardzo znaczne; Lucyperowi wspomnieć o prawdziwym filozofie, który przez potęgę silnego rozumu pojął najwyższe przeznaczenie człowieka na ziemi, można go do szaleństwa przyprowadzić i dla tego mamy polecenie czernić i spotwarzać takowych mędrców; natomiast niedowarzonych filozofów, którzy się w labiryncie myśli niepojętych błąkają jak owce, tych, panie dobrodzieju, przedstawiamy ludzkiéj publiczności z wielką skwapliwością, aby podług nich świat o filozofach sądził. Nowocześnie nakłoniliśmy

kilka postrzelonych głów, które przeciw filozofii pod płaszczem źle zrozumianéj moralności wystąpiły jawnie i publicznie i chełpią się ze swojego głupstwa, chwaląc pokorę rozumu».

— Darmo się kusicie, postęp rozumu ludzkiego nie cofa się; — przestało być tajemnicą, że wy djabli jedynie rozsądne światło przytłumić usiłujecie, — dzisiaj niemal każdy człowiek wié już o tém, że światło i ciepło stanowią życie, — ciemność i zimno śmierci oznaką.

— «A więc w piekle spodobałoby się panu dobrodziejowi, gdyż światło, to jest ogień, trwa u nas wiecznie a na brak ciepła jeszcze się nikt nie użalał».

— Spiriantus! za wyrazy nie podchwytuj, bo to tylko żaków jest przymiotem, ani ich też krzywo nie tłumacz; wiész ty dobrze, że o świetle umysłowém i o miłości bliźniego mówiłem; raczéj mi powiedz, któżto tych niedowarzonych półgłówków poduszcza, którzy nowocześnie z udaną prostoduszności o potrzebie pokory rozumu rozprawiając wieki średnie z grobu chcą wskrzesić.

— «Ja panu dobrodziejowi szczerze i obszernie rzecz tę wyjaśnię, ale na to trzeba nam wolnego czasu, a ja muszę się spieszyć do owego b. adwokata. Lucyper czeka na niego od dziesięciu lat jak matka na powrót syna pieszczoszka, i niechbym mu tę czarną duszyczkę z rąk naszych wypuścił, jużbym chyba przez 30 lat winy mojéj nie odpokutował. Za szczerość, z jaką panu dobrodzie-

jowi na jego pytania odpowiadałem, będę przymuszony uczęszczać przez jedno półrocze na prelekcye obłudy; to zaś najnieprzyjemniejsza, że tę naukę nie starsi djabli ale czarownice, niegdyś dewotki, zbyt nudnie wykładają; ale jużbym ja potrafił wykręcić się od téj kary, bylebym tylko z tym byłym adwokatem dobrze się sprawił».

— A cóżto? — czy wam tak skąpo o adwokackie dusze?

— «W porównaniu z innemi stanami mamy liczbę nieostatnią, — pomimo, że wielu bardzo z nich przez sumienne wykonywanie swojego pięknego powołania zupełnie się nas ustrzedz potrafią. Teraz właśnie zbywa nam na dobrym prawniku do ułożenia nowego kodeksu w Algierze i w Chinach, a wszyscy, co byli w piekle, wysłanymi zostali na poduszczenie usłużnych nam pieniaczów, tak, że gdy Lucyper w przeszłym tygodniu miał proces o duszę pewnej rozwódki, w braku praktycznego jurysty musiał dać plenipotencyą filozofowi XVII wieku, który u nas przez 50 lat drzewo rąbał i w piecach palił, bo dureń do niczego więcej zdatnym nie był, — za życia wykładał z katedry, *że przedmiotowość umu nie jest absolutną*".

— Później pomówimy o filozofach; teraz Spiriantus, przemienisz mi się w człowieka w porządném ubraniu, postarasz się o pościel, rozbierzesz się i położysz się spać, iżby jutro gospodarz i gospodyni rozumieli, żeś ty w nocy przybył, i że jesteś podróżnym.

— «Panie dobrodzieju! jakżesz można być tak okrutnym! A toćże ja będę najnieszczęśliwszym z djabłów, jeżeli tę duszę postradam».

— Nie bój się, ona trafi bez ciebie...

— «Tak, być to może, ale jednakowoż mógłby się zdarzyć przypadek; — w godzinę śmierci może się odezwać sumienie, gotów wynagrodzić pokrzywdzonych, resztę rozdać pomiędzy ubogich, i widzi pan dobrodziéj, jużby za to w niebie mieli wzgląd na niego, i możeby się potrafił wyśliznąć od kary. Z panami prawnikami ostrożnie potrzeba. Oto powiem panu dobrodziejowi: Dawnemi czasy jeden z sędziów piotrkowskich żywcem porwany do piekła, zrobił Lucyperowi proces o gwałt, i co pan dobrodziéj powie, wygrał w 1-széj instancyi, w 2-giéj już z czyszcza odpowiadał, dopiero w najwyższym sądzie potępiony i napowrót zwrócony nam został.— A o bagatelę tylko zahaczył, dowodząc, że umarł w sądny dzień żydowski, że djabeł, który z niego duszę wyciągnął, miał już trzy dusze żydowskie na ramieniu; a jest prawo na Lucypera, że potępionych chrześcijan z żydami mieszać nie powinien.

— A to czemu? zły chrześcijanin bywa gorszy od najgorszego żyda.

— «Prawda, panie dobrodzieju, — ale żydzi mają swoich osobnych koszernych djabłów, za to téż żydowskiemu biesowi, podług przepisów wara od chrześcijańskiéj duszy».

— Więc ów piotrkowski sędzia niesłusznie przegrał w najwyższéj instancyi.

— «Słusznie i niesłusznie, bo on nie był ani żydem ani chrześcijaninem, — nosił płaszcz na dwóch ramionach. Gdyby on był, panie dobrodzieju, po wychrzczeniu się — na czysto waszą wiarę chrześcijańską wyznawał, byłby był wygrał, jak dwa a dwa są cztery, — ale fałszywy emigrant w tym razie podrwił głową».

— Przemądrzałych taki zwykły koniec; tymczasem jednakże oczy mi się kleją, trzeba się wyspać, panie djable, jutro pomówimy więcéj; pojedziesz ze mną do braci szlachty wiejskiéj, napijesz się, najesz się, i zrobisz może jaką pożyteczną dla siebie znajomość, a mnie objaśnisz w niektórych szczegółach owéj wielkiéj poczciwości.

— «Pan dobrodziéj także umiesz i z miłéj strony zachęcać; powiem zatem panu dobrodziejowi prawdę: — przy onym adwokacie już jest trzech biesów, a on dopiero za cztery tygodnie umierać ma, — ja jeno chciałem podejść moich kolegów i pewnym fortelem uprzedzić ich, przez co byłbym sobie — u Lucypera wielką zjednał zasługę, lecz kiedy mnie pan dobrodziej pomiędzy szlachtę zawieść chcesz, to może być, że sobie wynagrodzę stracone korzyści».

— Proszę! jaką ty, biesie, masz ochotę do szlachty. Lecz nie traćmy czasu, już świta zaranie.

««Spiriantus! hocus! pokus! horpiacum! hodacum! Spiriantus! zamień się w postać ludzką»».

— «Najniższy sługa pana dobrodzieja, oto jestem na rozkazy; imię mi Edwin, nazywam się Zbro-

dniewski herbu Łotrzyk, moja mama Intryżanka z domu».

I stanął przedemną w pięknem ubraniu urodziwy młodzieniec.

— Witam pana Edwina Zbrodniewskiego! Bardzo zgrabnie wyglądasz, popraw tylko czupryny, bo końce rogów ci widać, a i z tyłu coś na kształt ogona się pokazuje, i te stopy są zbyt okrągłe.

— «Nie obawiaj się pan dobrodziéj, przytomnością umysłu wszystko pokryję».

— *22 maja o pierwszej z północy.* — Wczoraj równo ze wschodem słońca wyjechaliśmy z noclegu. Pawełkowi i Grzeli powiedziałem, że pan Edwin, którego zabieram, jest podróżny literat, szukający starożytności krajowych. Cztery mile za Siennicą, — (miejsc i osób po ich prawdziwém nazwisku wymieniać nie będę; gdzie dla gładkości opowiadania wypadnie, użyję imion zmyślonych, a chociaż się każdy pozna w swoim obrazku, wdzięczen mi przynajmniéj będzie, żem go obcą nazwą zasłonił) — w Pakułach pan Oślikowski zapominając, że mi w roku zeszłym na jarmarku w Łukowie kulawego konia pod słowem honoru za zdrowego sprzedał, przyjął nas z szaloną radością. Hałas powstał w całym domu, jakby się paliło; jejmość z córkami uciekła do sypialni, iżby zamiast usmolonych strojne włożyć sukienki; jegomość zrzuciwszy grubo watowany i srodze zużyty szlafrok, w naszéj obecności wrzucał się w porządniejsze ubranie, wołając donośnie:

— «Przepraszam, przepraszam! a to mi gość

niespodziany! Hej, Janie! niechaj Mateusz wyda obroku dla koni, bryczkę wtoczyć na wozownię. Hej, Janie, Janie! zawołać ze stodoły kucharza, mogą w tém klepisku młócić bez pilnowania. — Cóż to? nie dałeś mi parzystych ciżemków? — Jejmości prosić, aby się długo nie stroiła. Panowie wybaczą, a nie raz mówiłem, gdzie panny na wydaniu, zawsze powinny być czyste sukienki... Zaraz panom służyć będę... Podaj mi atłasową chustkę na szyję, — panowie przebaczą, żem nie ogolony, człowiek przy gospodarstwie... Mój Boże! dopóki byłem kawalerem... Weronika! słyszysz kołowata, połóż ten czepek, przynieś mi wody, ja jeszczem się nie umył, — jakoś przy gospodarstwie człowiek nie ma czasu się i umyć. Darujcie, panowie! zaraz podadzą wódeczki... Panowie zziębli»?

Edwin. O tak, przezacny panie jechaliśmy pod wiatr, a deszcz zacinał w oczy, nie zawadzi kieliszek anyżówki.

Oślikowski. Zaraz, zaraz... a to istotnie gość niespodziany.

Wkładając drugą rękę poza rozdartą podszewkę, wybiegł z pokoju.

Edwin. Poczekamy z pół godziny; ręczę, że w tym rozhoworze klucze od szafki zgubili; złaje żonę, zelży córki, wybije Weronikę, i dopiero poślą po kowała, aby zamek odbił. — I zgadł djabeł co do joty; najprzód słyszeliśmy przez cienkie ściany: «Klucze! klucze! gdzie jejmość klucze podziała»! — potém: «a do rejment djabłów, gdzie klucze»?!

«Ja tam twoich kluczy pilnować nie będę. Weronika wyprasuj mi haftowany kołnierzyk» — «mnie tę jedwabną chusteczkę» — «i dla mnie pelerynkę». — «Tylko się spiesz, Weronisiu». — «Ja kluczy chcę, bo wam te wszystkie tiule na ogień wrzucę». — «Zawsze byłeś i jesteś impertynentem». — «Ale ja jejmości powiadam, że kluczy! natychmiast kluczy! potrzebuję». — «Emilko, poszukaj ojcu kluczy». — «Papo, może to te klucze»? — «Zwaryowała, a ja chcę kluczy od szafki, gdzie mam dubeltową wódkę». — «Nie ma już téj dubeltowéj wódki, wypił resztę pan porucznik». — «Niedobra kobieto, kiedyś ty też resztę wódki wyczęstowała»! — «Papo, jest jeszcze w oplatanéj butelce likier różowy z imienin mamy». — «To także trzecia głupia, słodkim likierem jak na muchy każe mężczyznę częstować, jeszcze byłego żołnierza, a i ten drugi marsowaty kawaler»... — «Mężu, czy ty wiesz, że on kawaler»?... — «Bodajże ci się język przekręcił z twojém pytaniem, ja kluczy chcę, a ona się wywiaduje, czy on kawaler, — mówię *kluczy"!*

Potém zaczęli odstawiać kufry, szafy, łóżka, jegomość pokłócił się z jejmością *de grubis,* panny płakały; Weronika wracająca po sukno do prasowania dostała w policzek, jegomość wydarł jéj żelazko z ręki, uderzył niém o ziemię, wypadł na dziedziniec wrzeszcząc co gardła: «Bartek, Bartek!... a zawołaj mi tam kowala, niechaj zaraz przyjdzie otworzyć szafę, bo klucze zginęły, a spiesz jeno się, spiesz»!

Odrzekłbym się i dubeltowéj wódki i całéj gościnności pana Oślikowskiego, i gdyby Grzela nie był już wyprzągł koni, możebym był odjechał bez pożegnania. Edwin śmiał się do rozpuku i zacierał ręce. Mocne uderzenia młotem przekonały nas, że kowal ślusarstwa nigdy się nie uczył: pękły drzwi,— jegomość potrącał szkło, krzyknął: «Janie, kieliszka»! i wszedł do pokoju z dwoma butelkami w ręku.

Oślikowski. Panowie darują, ale chyba z araczkiem zmięszamy, bo likier za słaby.

Edwin. Sam araczek podobno będzie najlepszy.

Ja (do Edwina). Mylisz się pan, — jestto bardzo szkodliwy trunek, napijemy się likieru.

Oślikowski. Ale panie majorze, jakżesz można sam likier...

Ja. Bardzo proszę o sam likier.

Oślikowski. Już to pan major znowu kilka lat w mieście przywykłeś do tych słodyczy: chociaż jednę kropelkę.

Ja. Dziękuję, ani kropli.

Wtém ukazała się z najmilszym uśmiechem na twarzy gospodyni domu, pani Oślikowska, i dwie mocno wyszpurowane córeczki, zupełnie młode dziewczątka, ale już panienki na wydaniu. Edwin, jak uważałem, podobał się mamie od razu. Panienki się zarumieniły, oczki na dół spuszczając i tylko z ukosa (ale wyłącznie także na Edwina) od chwili do chwili spozierały. Mnie więc pozostał Oślikowski, który też chętnie i skwapliwie ucho

moje na całe przedobiedzie zadzierżawił. — Opowiadał mi nowiny, które przed trzema miesiącami w gazetach czytałem; zapewnił mnie, że skoro odbierze spadek po swojéj ciotce na Podolu, która i w trzeciém małżeństwie jest bezdzietną, przyczém genealogią dwóch nieboszczyków i żyjącego wuja obszernie przytoczył, natychmiast postawi na granicy od Paździerza karczmę; że przypozwie sąsiada o półtoréj morgi leszczyny, że powydaje córki za mąż i że chce odpocząć na stare lata.

— A przecież pan dobrodziej w saméj sile wieku. Ileż sobie, panie, lat liczysz?

— Tak na pamięć nie wiem, — urodziłem się na trzech Króli 1800 roku.

— A proszę pana Oślikowskiego to krótka rachuba; weź pan dobrodziej kredkę, napisz u góry 1841, pod spodem 1800 — i odciągnąć: zero od jednego jeden, zero...

— Nul się mówi panie dobrodzieju.

— Zgoda, niech będzie nul; zaczniemy więc od początku: nul od jednego jeden, nul od cztérech cztery, a zatém pan dobrodziej ma 41 lat, a że od trzech Króli upłynęło już miesięcy 4, dni 16, przeto dzisiaj liczysz pan wieku swojego lat 41, miesięcy 4, dni 16.

— A tak, tak; mój Boże! dawniéj człowiek z książką wstawał, z książką jadał, z książką się spać kładł, a — teraz przy gospodarstwie już matematyki zapomniał! Ale nie dziw; od ożenienia się zupełnie się człowiek w naukach zaniedbał.

— A dawno się pan dobrodziej ożenił?

Oślikowski (do żony). Nunciu, dawno my się pobrali?

Oślikowska. Nie prowadzę kalendarza, ale łatwo policzyć, Stefcia ma lat 14...

Oślikowski. Ba, ba! cóż znów gadasz, toćże młodsza siedmnasty zaczęła.

Nie wiem, jakiby ta sprzeczka obrót wzięła, szczęściem chłopak wyrostek otworzył drzwi i do obiadu zaprosił, a że i panna Eugenia na maleńkim klawikorcie wielką uwerturę już odegrała, udaliśmy się więc, nie bez wielkich ceremonii, na salę jadalną, która miała rozmiaru 6 łokci wszerz i 5 łokci wzdłuż.

Po obfitém jedzeniu, za które Oślikowscy 10 razy niepotrzebnie przepraszali, po kilku toastach za zdrowie szanownych gości, czegośmy jednakże przed zdrowiem pani domu, a następnie pięknéj konsolacyi w żaden sposób przyjąć nie chcieli, — po czarnéj kawie, i po jednym jeszcze kieliszku na słodką pamięć miłéj z panem Edwinem znajomości, — trzykrotnie upewniwszy, że nam jest bardzo pilno, obdarzeni zbyt czułemi uściskami, wyjechaliśmy z Pakuł o trzeciéj z południa.

— I cóż mi powiesz o tych ludziach?

— «Oślikowski jestto sobie głupiec z najlepszém sercem w świecie. Było ich siedmiu braci... rodzice nie naglili żadnego do nauki, i ledwie że który trzecią klasę ukończył, obsadzili zaraz na dzierżawie, i o ile możność dozwalała, najspie-

szniéj żenili, pragnąc za swojego życia wszystkie dzieci postanowić — i szczęśliwie się im powiodło... bo obywatelstwo istotnie siedmiu rodzinami Oślikowskich zwiększone zostało. Wprawdzie pan Bonifacy, u któregośmy co dopiero byli, bezpośredniéj korzyści niewiele dla nas rokuje — bo to ni pieczone ni warzone, nawet w karty nie grywa, i dla słabego organizmu płuc pić wiele nie może, ale bezpośrednio i on i jego bracia i jemu podobni obywatele wielkie wyświadczają usługi».

— Powiedz mi, Spiriantus, jakiego to rodzaju te wielkie usługi?

— «Oto widzi pan dobrodziéj... ci ludzie zajmują stanowisko, z którego mogliby sprawom naszym niezliczone czynić przeszkody, lecz oni szanując moc czarta — nie chcąc się djabłom narażać — drzemią w najdołężniejszéj obojętności — a to tchnienie ich roślinnego życia jestto tą pośrednią, wielką, niezmierną usługą dla Lucypera».

— A jejmość?... a córeczki?...

— «Pani Nimfa jest naszą niezaprzeczoną własnością; — co do córeczek, gąski, panie dobrodzieju! starsza jednakże jeżeli dostanie rozsądnego męża, może być najlepszą żoną, — natomiast młodsza wdała się zupełnie w mamę; i czy uważałeś pan dobrodziéj, jak oczkami strzelała zaczepnie. Będzie to z czasem dla nas djabłów smaczna potrawka; dzisiaj jeszcze niewiniątko, bo mama całą kontrabandę wyłącznie dla siebie zagarnia».

— Powiedz mi, czy przypadkiem nie byłeś w téj oto wiosce na lewo, zkąd czerwone dachy tak dumnie z pomiędzy walących się chałup wyglądają?

— «Czy ja tam byłem?... nie raz, ale sto razy».

— A któż tam mieszka?...

— «Pan! wielki pan! długów ma po uszy, bale co tydzień; — z żoną w rozwodzie, syn za pożyczone pieniądze wyjechał do Wiednia, papka wybiera się do Drezna, ale mu jeszcze na zawadzie termin subhastacyjny dóbr jego, który gdy szczęśliwie usunie przez zwalenie taksy, wziąwszy od dzierżawcy na rok trzeci pieniądze z góry pryśnie do Saksonii, zgra się co do grosza, zadłuży się w sposób najgwałtowniejszy, zmartwi się i umrze na plaurę; nie będzie go za co pochować. — Wdowa rozpocznie proces z wierzycielami męża, lecz w Dobroczynności zakończy życie opłakując syna, który ożeniwszy się w Medyolanie z bohaterką sztucznych jeźdźców, sam także konnym bohaterem zostanie, bo od młodości miał wstręt do piechoty. W ogólności spodziewamy się z tego pałacu niejednéj korzyści».

— Otóż się nie ciesz zawczasu, bo ja przestrzegę nieszczęśliwego, — upamięta się, pogodzi się z żoną, syna z podróży odwoła, do Drezna nie pojedzie.

— Gdybyś, panie, 12 adwokatów paryskich i nieboszczyka ojca z grobu do pomocy zawezwał, gdybyście rok cały nad nim pracowali, — na nicby się to wszystko nie przydało, — bo w jego

głowie i w jego sercu pusto i zimno, jak w rozwalonéj lodowni, dla robactwa stojącej otworem. Brudne namiętności wgryzły się w duszę jego, najnikczemniejsza zmysłowość zaraz w młodzieńczych latach pożarła sumienie, rozsądek i uczciwość nigdy tam schronienia nie miały, gdyż fałszywa ambicya, skoślawiony punkt honoru, na rodowodzie tylko, a nie na szlachetnych czynach opierające się, — chęć górowania, czczość umysłowa, pycha i nędzna duma wzdęły tę pierś blaszkami pokrytą»...

— Przestań, Edwinie, znam ja podobne poczwary; czyż nie możesz mi piękniejszych wskazać obrazów?

— «Napotkamy i rzeczywiście zacnych i szlachetnych obywateli; — teraz każ pan dobrodziej jechać drożyną na prawo, z poza tego brzozowego lasku dochodzi uszu moich jakieś palenie z biczów, niezawodnie jest tam zjazd szlachecki, uczta albo bachandrya».

— Właśnie na tę uroczystość proszony jestem; są to imieniny pani Maglewiczowej, znam ją od dziecka, z mężem chodziłem do szkół, z daleka mi więc bądź w tym domu; pozostaniesz w zajezdnéj stajni, i abyś mi się nie ważył pokazywać we dworze.

— „Najprzód w obecności pana dobrodzieja nic złego przedsiębrać nie odważyłbym się; powtóre: ja się dopóty od osoby pańskiéj odczepić nie mogę, dopóki wiadomych wyrazów na wspak

wymówić nie raczysz; potrzecie: chciałeś mnie pan dobrodziej zawieść pomiędzy szlachtę, słowa swojego cofać nie zechcesz».

— Prawda, a więc wezmę cię z sobą. Ale pamiętaj, gdybyś tam chciał kogo do gry, do pijaństwa namawiać, gdybyś mi zacne niewiasty bałamucić chciał, — nie zważając na wstyd, jakiby cię spotkał, wśród wszystkich publicznie ukarzę.

— «Jak papę Lucypera kocham, będę grzeczny i skromny».

— Pamiętaj, że dotrzymam słowa.

— «Zastósuję się do rozkazów pańskich: ale jakżeż na imieninach nie pić?... mógłbym popaść w podejrzenie, że nie jestem obywatelem, żem złego urodzenia, żem temu domowi nieżyczliwy, że w sercu nieprzyjazne żywię zamiary».

— Wolno ci pić tyle, ile drudzy pić będą, ale ze swej strony nie zachęcaj i nie kuś.

— «Co pan dobrodziej mówisz, ja sam rad będę, jeżeli obronną wyjdę ręką, bo to już nie raz się zdarzyło, że na imieninach, w starodawnéj gościnności domu i djabła panowie szlachta przepili,— a Lucyper za taką słabość chłoszcze przykładnie».

— Więc i djabłom nie wolno się upijać?

— «Nie, nie wolno, panie dobrodzieju. Lucyper twierdzi, że po pijanemu zaniedbuje się służby, i że często można wpaść w dołek, któryśmy dla drugich wykopali. — Już mnie samemu zdarzyło się, że przebrawszy miarki, popełniłem okropne głupstwo: oto proszony w Krakowskiem na wesele

do bogatego kmiecia, przez dwa dni w postaci dworskiego hołysza, różne płatałem figle; darły się chłopy za łeb, zmawiały się na niewiarę niewiasty, a ja tymczasem uwodziłem pannę młodą. Wszystko szło po mojej woli, — kiedy nad rankiem trzeciego dnia, naglony szczeremi prośbami rozochoconych Krakowiaków, palnąłem duszkiem pół garnca miodu, nie wiedząc, że był starszy od gwardyana, po którym sołtys, jako najbliższy nieboszczyka krewny, niepozorną beczułkę w spadku odziedziczył był, a dzisiaj weselnym gościom wystawił. A że już trzecią noc nie spałem, że się już wypiło kilkadziesiąt półkwaterków gorzałki i kilkanaście stófów jałowcowego piwa dubeltowego, — cóż pan dobrodziej powié, straciłem równowagę rozumu, — całuję się, ściskam z organistą i proszę go, aby wylał święconą wodę z kamiennego garnuszka, który przy drzwiach kościelnych był umocowanym; organista, któremu się kurzyło z czupryny jakoby ze słodu na lasach, chwyta mnie za szyję i ciągnie do drzwi, wołając: «Dobrze, bratku, dla ciebie wszystko uczynię», — jakoż uczynił pijanica, bo święconą wylał mi za kołnierz! Możesz sobie pan dobrodziéj wystawić, jak ja tam wówczas ryczałem; — całe wesele, jakby wymiótł; skacząc z najokropniejszego bólu, pułap, komin, chałupę rozwaliłem, — i dopiero na Łysej Górze cioty i czarownice obłożyły moje rany żółcią i śliną kłótliwéj dewotki, co mi nieco ulgi przyniosło».

— Widzę, że pan Zbrodniewski był już w tarapatach.

— «Przykra to służba, panie dobrodzieju; czasem się wpadnie w takie położenie, że rady sobie dać nie można, np. znajomość z panem dobrodziejem to także dla mnie straszliwy przypadek, a niemiłych okoliczności to się przytrafia nieledwie co tydzień. — Będzie temu miesiąc, jak mnie Lucyper wysłał do starego bogacza, aby go namówić, iżby pomijając ubogich najbliższych krewnych, cały majątek imiennikowi swojemu zapisał, nibyto dla utrzymania świetnego imienia familijnego!... Udało mi się przewybornie, — ale wycierpiałem ja za swoje».

— Cóż takiego?...

— «Była tam jego kuzynka, panna Kordula, któréj tylko jeszcze trzy miesiące do piątego krzyżyka brakowało, pokochała się we mnie na umor; a! panie dobrodzieju! potrzeba było męstwa niepospolitego, aby te *amory* wytrzymać».

— Jakżeż się waść wyśliznął?...

— «Powiedziałem, żem jeszcze niepełnoletni, że muszę się wystarać o usamowolnienie przez radę familijną, i że skoro tę zawadę usunę, natychmiast powrócę; — tymczasem pisujemy do siebie listy».

— Nie masz zaś, Belzebubie, którego z tych listów?

— «Mam ich już pięć od dwóch tygodni, schowałem je we wronie gniazdo niedaleko téj karczemki, gdzie mnie pan dobrodziéj przyczłapił; jak pojedziemy z powrotem, to po nie wnijdę na sosnę».

W tę chwilę zajechaliśmy przed murowany dworzec państwa Maglewiczów. Poczciwy Hieronim wybiegł na powitanie, uściskaliśmy się serdecznie, poczém przedstawiłem mu pana Zbrodniewskiego. Zmieniwszy w pokoju Hieronima nasze podróżne ubranie na fraki i obcisłe pantaliony, zostaliśmy wprowadzeni do salonów bawialnych. — «Zono, August nietylko że raczył dotrzymać słowa, ale i był tak łaskaw, że przywiózł w dom nasz miłego gościa. — Pan Zbrodniewski».

Oczy licznego sąsiedztwa zwróciły się na nas; ja tedy do powinszowań nie leniwy, co mi usta z sercem w zgodzie przyniosły, wypaliłem solenizantce. W niewinném uściśnieniu całowanéj rączki miłą znalazłem odpowiedź. Edwin zaś po francusku, kwiecisto i gładko także życzenia złożył. Następnie dopiero gospodarz domu wiódł nas przed sędziwe panie, z kolei i przed młodsze mężatki, potém wymienił nasze nazwiska przed zacniejszemi obywatelami, potém półżartem przedstawił nas piękniejszym dziewicom, potém miejscowemu plebanowi, potém poznał nas z sąsiednią młodzieżą, nakoniec zaprowadziwszy do stołu zastawionego rybą, mięsem, konfiturą, winem i likworem, oddał nas w opiekę pana podsędka, który szczerze nad faszerowaném prosięciem pracował, a porter krajowy nad zagraniczny wychwalał. Gdyśmy nie odbiegając towarzystwa pana podsędka, uprzejméj woli gospodarza zadość czynili, już zmierzchać się poczęło, a jeszcze się goście zjeżdżali,

i Hieronim ciągle nowych kandydatów do podsędka sprowadzał. Po sowitym zadatku gościnności, to jest po śniadaniu, przy którém i jedzenia i rozmaitego napoju było poddostatkiem, zdziwiłem się, gdy jakiś jegomość szeroce o doskonałości swoich chartów rozpowiadając, zajrzał na zegarek i dosyć głośno rzekł: «Należałby nam się już obiad». Rozumiałem, że żartuje; aliści pan podsędek poparł jego zdanie, twierdząc, że bez rosołu to człowiekowi się wydaje, że jest naczczo. Ślicznie mi naczczo, pomyślałem, a toć żeś ty zeżarł w mojéj tylko obecności niemal całe prosię, część pasztetu, talerz marynaty, pół funta kawioru i słodyczy do tego co niemiara, zapijając co chwila winem i porterem na przemian, a zanim ja przybyłem, ileś ty to tam już połknął?...

Zgorszony takowém nienasyconém obżarstwem, udałem się do przyległych pokoi, gdzie inni goście na rozmaite i różnorodne podzieleni gromadki, jedni przy wiście ulubionym nad życie, nie tracąc drogiego czasu o dziesiątki lub złotówki spór milczący wiedli; drudzy kwindecza albo ćwika złotem uczcili; inni faraona próbowali; byli i lubownicy maryasza do puli; młodzież płci męskiéj, zbywająca od kart i od kurzenia fajek w oficynie bawiła skromne dziewice przedpotopową grą: «gadaj gadula, gdzie złota kula»; niektóre mężatki opowiadały sobie na uboczu o wadach swoich mężów, o przygodach domowych, o przyjemnych znajomościach, o modach, o zamiarach na zbliżający się karnawał,

w dodatku i o swoich dzieciach, które do szkoły odwiozły, — a gdy się wątek urywał, uciekały się do obmowy tych osób, które obecnemi nie były, — a plotki snuły się już w nieskończoność. Upatruję, gdzie mi się mój Edwin zahaczył, — aliści spostrzegam, że przy stoliku w butelki i w kieliszki zaopatrzonym żarliwie rozprawia. Aż siedmiu miał ciekawych słuchaczy; podsuwam się, a Edwinio właśnie dowodził, że cała pomyślność rolnika na Pistoryuszu zależy.

«Panowie! — oto jego słowa, — dopóki nie ulepszymy gorzelni, dopóki chłopów w karby posłuszeństwa nie ujmiemy, na nic się nie przydadzą te wszystkie nowoczesne wynalazki, — ja naprzykład przy zachwalonym przemyśle zagranicznych agronomów byłbym z torbami z dziedzicznych wiosek wyszedł, gdyby nie propinacya, z której mi żyd regularnie 12,000 złp. płaci rok rocznie».

— Żartuje pan Zbrodniewski, — ozwałem się głośno, — wierzcie mi, panowie, że w dobrach jego propinacya nie przynosi i 1000 złp.; zaprowadził bowiem takie urządzenie, iż karczmarz za każdego pijanego chłopa sto złotych płaci kary i miejsce za trzecią razą postrada, czego sam i przez swoich oficyalistów pilnie przestrzega. Natomiast przez pilną pracę, przez porządek, doskonale uprawna i zmierzwiona ziemia, chociaż tylko klasy III, 8 ziarn żyta a do 12 ziarn jęczmienia wydaje; wysoko poprawne owczar-

nie, wzorowy chów bydła rogatego i koni, — olearnie, sprzedaż buraków do sąsiednich fabryk cukru, przędzalnia lnu i piękne wyroby płócien, corocznie zwiększające się jedwabnictwo i pszczoły, — porządnie zagospodarowane rybołostwo i wiele innych godziwych korzyści, które zaszczyt rolniczemu obywatelowi przynoszą, to są sumienne i szlachetne źródła jego bogactwa. — Mówiąc panom o ohydném gorzelnictwie, chciał jedynie zbadać, co panowie myślicie: pan Zbrodniewski bowiem zabiera się do napisania dzieła, w którém przyczyny naszego ubóstwa krajowego wykryć chce, a jego zdaniem zaniedbane i na gorzelniach tylko opierające się rolnictwo za najgłówniejszy powód nieszczęść naszych uważane być powinno.

Jeden ze słuchaczy. A to pan Zbrodniewski podejść nas zamierzył...

Edwin. Zdawało mi się, że panowie... to jest, że panowie moglibyście być przeciwnego zdania... nie chciałem więc narażać się na zarzuty jakowe...

Drugi ze słuchaczy. Mów pan zawsze prawdę, a w najmniejszym będziesz kłopocie.

Poszmer radosny, że lokaje na salę zupę rakową i zapaloną już przynieśli, ocalił Edwina od dalszego wstydu.

Obiad wystawny z kilkunastu potraw złożony, z cukrami, z ciastami i rozmaitemi przysmaczkami, przy którym bynajmniéj nie zaniedbano «dam zdrowia, zdrowia solenizantki, jw. starościny, jw. pre-

zesa wyborów, radców tow. kred.» z kolei «pięciu jw. jw. sędziów pokoju, obywatelstwa, stanu duchownego, gospodarza, bodaj nam się dobrze działo» — i nakoniec: «kochajmy się» — dopiéro się o drugiej z północy zakończył. Poczém nastąpiły tańce i niekiedy kulawka z przyśpiewką. Edwin dobrze cięty, już to pił jeszcze ciągle, nie dając się nietylko nikomu zawstydzić ale nadto młodzież zachęcając do kielicha, już to tańczył na zabój; a przedewszystkiem gąskom różne a śmiałe szeptał pochlebstwa, i chociaż dwa razy «Spiriantus»! na niego zawołałem, tylko się otrząsł a hulał daléj. Nazajutrz, to jest dzisiaj około południa największa część gości rozjechała się; — krewni domu, chory podsędek i ja z Edwinem pozostaliśmy. Edwin zamknięty przezemnie w oficynie pod surowém zagrożeniem, aby się z pokoju na krok nie ruszył a dla skrócenia sobie czasu, aby mi wierny i obszerny obraz wszystkich charakterów osób, które wczoraj widział, sumiennie opisał, — za moim na spoczynek powrotem spał tak mocno, iż go się zaledwo dobudzić mogłem. — «Gdzież twoje wypracowanie»?... spytałem hultaja, który mi wczoraj bardzo wiele nabroił.

— Oto jest.

Patrzę — kilkanaście wierszy ni w pięć ni w dziewięć, wyłącznie pochwałę podsędka w sobie mieszczących. Widząc, iż przy méj zbytniéj dobroci i powolności pan djabeł wziąłby na kieł, bez wszelakiéj przedmowy zaczynam:

«Spiriantus! szołder! ad tuum inclitium numeratur słomka, quoque wiechetka, significamus te, (tu zacząłem go okładać, a zawsze wymierzając cięcia tak, iżby się krzyżowały) ne in vitia et scelera ruat sponte, sed semper, quantum fieri potest, nasze rozkazy uprzedzał i szczerze na zapytania odpowiadał, — Spiriantus! hocus! pocus! horpiacum! hodacum! spiriantus zamień się w psa»! Poczém się przeżegnałem, — a w miejscu Edwina Zbrodniewskiego leżał czarny pudel skomląc i tuląc się u nóg moich.

— Jak pies gada? — «haf! haf»! — szczekajżeż teraz sobako, kiedyś mnie po ludzku słuchać nie chciał.

Nie wiem tylko, jak to Hieronimowi opowiem, gdzie się podział pan Edwin: — gdybym mu cały wypadek objaśnił, rozumiałby, że z niego żartuję; nadto przez trzy miesiące przez trzy dni i przez trzy godziny, wedle podania starych ludzi, tajemnicę każdéj przemiany djabła zachować obowiązany jestem, w przeciwnym razie miałby djabeł prawo szkodzenia mi na rozmaitych drogach. Otóż udam, że pan Zbrodniewski odebrał pilne z Warszawy wezwanie i że w nocy odjechał.

15 czerwca. — Dawno już do mojego dziennika nic nie wpisałem; ale bo téż pomiędzy braćmi szlachtą o pisaniu myśleć bardzo nie można czyli i niema czasu: jeżeli nie stypa, to polowanie albo gra azardowa, albo odwiedziny w sąsiedztwo i t. p. Czas wracać do domu a i ich wylanéj gościnności,

która różnemi sposobami pobyt mój na wsi uprzyjemnić pragnie, nadużyłbym wreszcie. — Wczoraj odczarowałem pudla w Edwina; oj łgałże łgał Hieronimowi, że w sprawie honorowéj musiał się nagle oddalić, że sekundował księciu Ludwikowi, że jeden przeciwnik śmiertelnie raniony został a drugi na klęczkach obrazę odwołał — i t. d. i t. d.

Pawełek powiadał mi, że się tak w kuchni cieszą, że czarny pudel gdzieś zginął czy uciekł, bo im nadzwyczajne psoty robił. — Trwało powszechne mniemanie, że ten pudel został po komedyantach, którzy nazajutrz po imieninach pani różne sztuki pokazywali we dworze, gdyż i pudel cudności umiał, aby czeladź zabawić i przebaczenie za poczynione szkody zyskać. Swoje rychlejsze odczarowanie zawdzięcza następującéj okoliczności: graliśmy w faraona, wszyscy znajomi obywatele; na chwilę nie myśleliśmy, ażeby pomiędzy nami był jeden szuler, — a był nim dobrze urodzony młodzieniec, bank ciągnący. Śród gry wcisnął się do pokoju pudel, skoczył na krzesło i przypatrywał się pilnie; chciałem go zrazu wypędzić, ale Hieronima i wszystkich obecnych bawiła ta *psia ciekawość do kart*, więc pozostawiliśmy go na krześle, które mu jeszcze dla większéj śmieszności bliżéj stołu przysunęli. Od czasu do czasu pudel szczeknął i wówczas bankier się wzdrygnął i zarumienił, a gdy się to coraz to częściéj powtarzało, prosił, aby psa wypędzić, — ale ja wówczas zmiarkowawszy, że to ma jakieś znaczenie i wiedząc, kim jest pudel,

nie pozwoliłem na to, tylkom go jeszcze pogłaskał. Nagle mój pudel kładzie na stół łapę i odgarnia stawione przezemnie pieniądze, ciągnie mnie za połę od surduta, a na bankiera warczy, pokazuje zęby i szczeka. Wszyscy śmiać się serdecznie poczęli, bankier zbladł, chciał przestać, lecz zgrani nie pozwoliliśmy na to; ciągnie więc daléj. — Stawiłem, pamiętam, na pikową dwójkę dukata, i oddalając się z pokoju, wyrzekłem do psa: «pudel, pilnuj wygranéj»! — Ledwo żem wyszedł do sieni, słyszę nadzwyczajny hałas; wracam pospiesznie, pies ostremi kłami trzyma bankiera za rękę i wolta z pod dwójki, na wpół wyciągnięta, w podróży zatrzymana okazała się widoczną i niezaprzeczoną. Czy ze wstydu, czy z bólu młodzieniec zemdlał; obecni wytłumaczyli zaś to szczęśliwe dla wszystkich zdarzenie, że pudel musiał być rzeczywiście od komedyantów, że jest nauczony pomiędzy innemi i sztuk karcianych i że mając bystrzejszy i przenikliwszy od nas wzrok, dostrzegł podłe figle bankierskie. Każdy więc chciał tak przewybornego stróża sobie przywłaszczyć, ale on do mnie się tylko tulił a na drugich warczał. Hieronim twierdził, że gdyby takiego pudla miał był w Łęczny na jarmarku, byłby był bezzawodnie 500 dukatów nie przegrał. Wieczorem tegoż dnia, w oficynie, podług przepisów podania starych ludzi, bez świadków, liżącego moje nogi pudla, za okazaną mi przy faraonie wierność odczarowałem w dawną postać Edwina Zbrodniewskiego. Rad był pan Edwin

i wdzięczen nadzwyczajnie, twierdząc, że mu czeladź w kuchni bardzo dokuczała i że mu tęskno było do salonowych zabaw.

Pan Edwin uprzedzając moje życzenia zaczął rozprawiać o osobach, które w domu państwa Maglewiczów poznał był, — jam więc wziął pióro do ręki i jego uwagi zapisywać chciałem, gdy w tém bystrooki spostrzegł, że nowych dwie stronnic przybyło, — a więc w prośby, abym mu przeczytał, co w jego nieobecności napisałem.

— Czytaj waść głośno, pozwalam.

— «Ale może pan dobrodziej na mnie co pisał? a ja o sobie nie lubię czytywać».

— Zacznij więc od tego miejsca: «Istoty płci żeńskiej....

— «Dobrze, dobrze».

«Istoty płci żeńskiej na wsi urodzone, na wsi pierwsze wrażenia odbierające, na czas krótki tylko do wielkich miast na dokończenie ogłady oddane a potém znów na wsi żyjące, po największej części na dwie główne klasy podzielić się dadzą; — albo są to stworzenia cnotliwe, łagodne, miłe, pełne naturalnej i przyzwoitej swobody, które przechodzą w ręce mężczyzn jak wosk łatwo kształcić się dający, — i tylko wina to mężów, jeżeli się nie staną wzorowemi żonami, matkami, paniami i obywatelkami łącznie i nierozdzielnie, — albo są to gąski ze wszystkiemi wadami prostoty i niedołężności umysłowej, które życie małżonków gorżko zasolą lub też skwaszą nielitościwie. Wpływ na moralną

jakość kobiety wywierają pierwotnie: przykład matki, czystość i głębokość przyjętych zasąd religijnych; wybór nauczycieli, osoby otaczające, np. babki, ciotki i poufałe służące. Mierność majątku rodziców jest dobremu wychowaniu najprzychylniejszą, bo majątek znaczny lub nieco większy od szlacheckiego wprowadza tym pseudo lub istotnym hrabiankom tak nieznośne w nos muchy, tak wiele w ich wychowaniu nagromadza pańskich dodatków, fałszywych wyobrażeń, nikczemnéj pieszczoty, zarozumienia, dumy i pychy, że sądzą, iż oddającemu swoją rączkę — zaszczyt, łaskę, nieopłacone niczém dobrodziejstwo świadczą; że przed niemi wszystko się czołem chylić powinno; że ich życie musi być splecione z wypieszczonych wygód, przyjemności i nieustających zabaw i rozrywek, że one dla tego idą za mąż, aby w mężu znalazły wiecznie salonowego grzecznisia, które zdaje się, że nad wdzięki płci pięknéj niczego wyżej nie ceni; — że nawet te zaszczyty, które te panie zawsze chciwie i za każdą ofiarę nabyć pragną, małżonek nie z popędu własnego, nie dla siebie, ale dla wywyższenia żony gromadzić winien, — bo tytuł jest u nich źródłem i szczytem pomyślności, przed którym szczęśliwa rzeczywistość, kiedy nie jest głośną i błyszczącą, chociażby z najszlachetniejszych czynów wynikła, bardzo tylko podrzędną zyskuje wartość.

Mówią, że prędzéj dzikiego konia ujeździć aniżeli nałogi i upór kobiety zwyciężyć można, ja jednakże zupełnie przeciwnego jestem zdania i naj-

większą część wad kobiecych mężczyznom przypisuję.

Żona, gdyby rzeczywiście nie była cnotliwą i wzorową z zasad w pierwszéj młodości powziętych i ustalonych, — pod rozsądnym kierunkiem, pod gorliwą opiekuńczą wolą *cnotliwego męża* zawsze się moralnie ukształcić może. Ale pochlebstwa nasze i pierwszych chwil uległość, najwyższego dochodząca stopnia, staje się przyczyną złego w małżeństwie, — a nagła zmiana bywa częstokroć zbyt późną,— przymus gwałtowny niewłaściwym. Z mieszaniny nierozsądku i nikczemności mężczyzn na bujném namiętności polu, z serca kobiety wyrastają stugłowe nieszczęścia społeczeństwa ludzkiego, — bo kobieta jest o bardzo wiele większą połową życia naszego; — oddzielnie działając zamykamy się w $^3/_{10}$ częściach wielkiéj dramy świata, — a przez kobiety, dla kobiét, z ich pobudek, z ich natchnienia, za ich wpływem, $^7/_{10}$ melodram, komedyj, wodewilów, i tragedyj odgrywanemi są. Nieszczęście, że na wychowanie kobiety tak mało dotychczas zwrócono uwagi, że temu wychowaniu przewodniczą ludzie bez głębokiéj rozwagi, że chorobliwych umysłów dzieła, w téj rzeczy pisane do rąk powszechności dochodzą. Po prawdzie umysłowa reforma samychże mężczyzn jedynie tylko na drogę ścisłéj moralności kobiety doprowadzić zdolna. Dwa ku temu środki są niewątpliwe: czysty chrześcijanizm i upowszechnienie zasad prawdziwéj filozofii. Środek drugi pierwszego nie pominie,

pierwszy drugiego od siebie nie odłączy. Czy to zagadnienie brzemienny w wielkie odmiany umysłowe wiek XIX w całości rozwiąże, wątpliwem jest jeszcze, bo materyalizm z kolebki olbrzymem rosnąc, może w samym nadmiarze (częściową ale nigdy wyłączną i główną — jak to wielu najmylniéj sądzi) stać się przeszkodą do stanowczych postępów moralności, — chociaż w masach o moralności bez ulepszenia bytu materyalnego rozprawiać, jest to grubą nieznajomością potrzeb koniecznych natury ludzkiéj».

— «Pięknie, bardzo pięknie; szkoda, że pan dobrodziéj więcéj nie napisał».

— Dziękuję za pochwałę, ale proszę, aby waść swoje spostrzeżenia z owego dnia imienin objawił i podyktował mi do dziennika.

— «Dobrze, panie dobrodzieju; otóż tak:

Ten jegomość w peruce, z czerwonym nosem, co ustawicznie dziąsłami użuwał, który obok pana dobrodzieja siedział podczas objadu wtorkowego, — jest to szlachcic dawnéj daty; on rozumie, że wcale z innéj gliny ulepiony aniżeli biedne chłopki, — dla tego uważając ich za swój inwentarz, radby, aby mu nietylko codzień ale i w nocy robili, a kiedy najemnikowi kwitkiem do karczmy za 15 godzin ciężkiéj i krwawéj pracy żniwnéj 15 gr. pol. zapłaci, zgrzyta zębami przez cały tydzień i w niedzielę łaje ekonoma, dlaczego się samą pańszczyzną nie obchodzi. Kiedy kto w jego obecności mówi o miłości bliźniego, on się oddala do dru-

giego pokoju i narzeka przed swoim plebanem na zepsucie obyczajów, na szerzenie się fałszywych zasad, — dowodząc potrzebę przywrócenia dawnego porządku. Pan Liszczurowicz, co był po prawéj ręce pana dobrodzieja, to znów inny egzemplarz: gada głośno i wiele o potrzebie ulepszeń losu włościan, o oczynszowaniu, o konieczności wypośrodkowania sprawiedliwéj nagrody dla pracującego wieśniaka, o szkółkach parafialnych, o szybkiém usunięciu przyczyn pijaństwa, — ale w cichości podwyższył w roku zeszłym liczbę darmochów, postanowił, aby w zarobnéj wsi o milę od jego folwarku odległéj, ze wschodem słońca nie z domu wychodzili ale robotę już zaczynali; a iżby ulżyć cierpiącéj ludzkości, po 2 gr. pol. na kwaterce gorzałki opuścił w cenie, — tańszéj więcéj się sprzedaje! Chcąc uchodzić za ucywilizowanego, karę cielesną zamienił na karę roboty do dworu. Przejdzie na dworskie pastwisko gęś, Walek musi posłać na cały dzień swoję kobietę ze sierpem; przejdzie Maćkowe ciele — Maciek musi cały dzień młócić; przejdzie wół, chociażby i jednéj trawki nie uszkodził, właściciel wołu, święty Boże nie pomoże — musi morgę ukraińskiéj miary a jeszcze roli co twardszéj i kamieniami napełnionéj zorać jak najdrobniéj. Chciwiec na bezpłatną robociznę twierdzi, że naszych włościan do niemieckiego porządku przyprowadzić chce, zapominając, że przed trzema laty gromadzie wszystkie pastwiska odebrał, — jak gdyby pańszczyzniany chłopek w nę-

dzném trójpolowém gospodarstwie bez pastwiska osobnego obejść się potrafił. — Zkądże chłopek ma brać przykład przysposabiania pastewnych roślin, kiedy i we dworze, który mu zwykle za wzór służy, — po dawnemu, jak za Adama, gospodarują.

Książka agronomiczna, jeżeli ją pan Liszczurowicz przez grzeczność dla autora, którego brat albo przyjaciel wpływał na interes pana Liszczurowicza, przypadkiem jakowym kupił, została z wierzchu obejrzana, owinięta w stare rejestra pańszczyźniane i zamknięta do szuflady, aby jakowéj zarazy w gospodarstwie jego nie wniosła, bo najgorzéj zaznajomić się z tymi rozprawiaczami, można tak jak i oni zwaryować. — Pan Liszczurowicz utrzymuje, że on swoim własnym rozumem na gospodarską potrzebę wystarczy. Jedyna jedna odmiana, co ją skwapliwie przyjął, zaszła w maszynie Pistoryusza».

— Powiedz mi, a jak osądziłeś pana pułkownika?

— «Panie dobrodzieju! jeżeli mam szczerą prawdę powiedzieć — mało jeszcze, bardzo mało u was takich obywateli. On ojcem dla włościan a nie panem, i to nie w słowie ale w czynie. Żaden i najdrobniejszy szczegół w ich życiu nie ujdzie przed jego opiekuńczem okiem: — on twierdzi, że za ich los przed Bogiem i przed ludźmi teraz i na przyszłość jest odpowiedzialnym. Ale i w swojém rodzinném kole inaczéj zupełnie postępuje jak panowie sąsiedzi: jeden z jego synów od 3-ch lat

pracuje w warsztatach maszyn angielskich; drugi od roku w Niemczech jest u wzorowego gospodarza wiejskiego nie honorowym ale płatnym a więc koniecznie czynnym ekonomem; dwaj starsi po służbie wojskowéj są obecnie na publicznem urzędowaniu w Warszawie; — jednę córkę wydał za kupca do Krakowa, drugą wydaje za ubogiego ale pełnego zalet młodzieńca, którego rodzice na maleńkiéj tylko żyją dzierżawie. A zapewne pan dobrodziéj wiész, że pułkownik do miliona majątku posiada, że pochodzi z najdawniejszych karmazynów, że jego nieboszczka żona hrabianka i wojewodzianka z domu, — ale on się za tę spruchniałą poręcz nie chwyta; idzie po drodze, którą przez proces myśli wyrobił i błogo jest mu na sercu i w duszy. Gdyby go panowie szlachta naśladować chcieli, wiejski szlachcic byłby rzadkiém w piekle zjawiskiem; dzisiaj pełne ich kąty, nie wiedzieć, co z nimi począć, — do pracy leniwe, nieusłuchane, — trzeba przy każdym rozkazie chłostać, aby oduczyć dawnych nałogów. — Wystaw sobie pan dobrodziéj, kilku z nich, Litwinów, wysłał niedawno Lucyper na wybory marszałkowskie: oni zamiast prowadzić powierzoną sobie intrygę zasiedli do wista — i grali przez trzy dni i przez trzy nocy! o wszystkiém zapomniawszy! Wybory się skończyły, dopiéro po harapie dowiedzieli się, że najzawziętszy nieprzyjaciel Lucypera marszałkiem obrany został. — Chcąc to tedy niby naprawić złe, pojechali na jarmark do Berdyczewa, aby tam

ograć młodzież w faraona i przez to słabszych o rozpacz przyprawić i dla Lucypera pozyskać; ale i tam wystrychnęli się na dudków: zgrali się co do grosza, bo jarmaczni szulerzy są sto razy przebieglejsi w swojém rzemiośle od każdego djabła niedopiéro od takich trutniów; — trzy razy przysłali do piekła po pieniądze, aż zniecierpliwiony Lucyper kazał ich pod strażą do siebie sprowadzić i na nowo przez 9 lat gotowani być mają w smole».

— To wszystko dawniejsze błędy; dzisiejsza młodzież szlachecka inne rokuje nadzieje.

— «Co pan mówi?.... a toćże poznałem ich i teraz u państwa Maglewiczów, dziewięciu podobno: wystrojeni, wyprężeni — głowy z wierzchu umuskane tak jak u miejskich lalek, ale w głowie sieczka, jałowa sieczka, panie dobrodzieju, w któréj ledwie gdzie niegdzie ziarnko znaleźć można. Wyjdzie taki panicz ze szkół, których często i nie ukończy, wprost idzie na obywatela! I śliczny mi też z niego obywatel! on tyle wie o wielkości swoich nowych obowiązków i znaczeniu tego stanowiska, które zajął, — ile zwyczajny organista o astronomii. — Dąć, minę stroić, puszyć się, w miasteczkach przesiadywać, lulkę palić, polować, do kieliszka się wkładać, w karty grywać, dziewczęta łowić i karnawał uroczyście obchodzić, to całą paniczów sztuką. Książki naukowéj za wszystkie grzechy nie weźmie do ręki, — a to mu na co?... Romans lekki francuski, osobliwie ulubionego Pa-

wlunia Koka, dla zabicia czasu lub aby też ludzie mówili, że jest literat, z nudów albo dla połechtania zmysłowości przeczyta czasem. Gdyby zresztą nieukiem tylko był, a przynajmniéj moralność i sumienność w sercu zachował, dałoby się jakoś ułożyć, — ale gdzie tam, oni i o moralności i sumienności wyobrażenia żadnego nie mają. Utracił religijną praojców wiarę, — nie przyjął czego rozum wymaga i bez wiary i bez wiedzy — jest zwierzęciem, przywilejami gnuśności znieczyszczoném, wrzodem towarzystwa ludzkiego. — Pan dobrodziej zapewne się dziwi, że ja djabeł tak jasną mówię prawdę; — możesz, panie, moje świadectwo prawdy nietylko rozgłosić ale i wydrukować, dzisiaj każdy się śmieje z takiéj gawędy, — przeczyta, przyzna, że złota prawda, ale iżby miał podług tego życie swoje odmienić, zastósować, o to się my djabli teraz nie lękamy. — Ja przez żart wiedząc naprzód, jaką odbiorę odpowiedź, szepnąłem w przeszłym roku jednemu pijakowi: «przyjacielu, zapijesz się»!!! Zgadnij pan dobrodziej, co mi odrzekł?... Oto: «przyjacielu! kiedy to smakuje»! i pił i zapił się. Ja, co z początku panu dobrodziejowi wzbraniałem się niby prawdę na zapytania mi czynione odpowiadać, czyniłem tylko, aby się z panem dobrodziejem drażnić, bo dzisiaj wolno nam djabłom prawdę gadać. Lucyper twierdzi, że ślepe samolubstwo tak świat opanowało, iż, jeżeli czy wasza wiara, czy wasza wiedza stanowczo i energicznie przez swoich kapłanów i mędrców działać nie za-

cznie, nam w piekle i miejsca zabraknie. Przyznam się panu dobrodziejowi, my z lat dawniejszych djabli tośmy i temu bardzo nie radzi».

— A to czemu?

— «Lucyper już nas nietyle szanuje, co dawniéj; powtóre roboty wiele, pakować w kotły, smażyć, piec; — a rzadko kiedy daje inne polecenia, bo teraz dusze już same do piekła przychodzą, a jednakże kiedy djabeł jest na ziemię delegowanym do jakiéj sprawki, to się przecież i zabawi i rozweseli, — zresztą tych dobrowolnych za pieniądze zapisów przed laty na tysiące ledwo się jeden trafił i wielką było zasługą kogoś na cyrograf uchwycić; obecnie dobrze, że nam wołowych skór nie zabraknie».

— I któż się to tak u was zapisuje?

— «Panie dobrodzieju! prócz chłopów pracowitych nie masz stanu, w którymby się kopami takich nie znalazło, co duszę swoję za pieniądze sprzedają; — dawniéj rzemieślnik także do lękliwych należał, — dzisiaj tak się panu dobrodziejowi krawiec, szewc, kuśnierz, stolarz, śmiało na cyrografie podpisze, jak gdyby kwitek na kilkozłotowy dług wydawał. Albo te kucharki, młodsze miejskie, sklepowe dziewczyny, — pokażę któréj piękną salopę w jednéj ręce, a w drugiéj cyrograf do podpisu, dobrze że mi ręki nie urwie, — i chociaż pisać nie umie, to trzy kółka przy świadkach naznaczy i biegnie do swéj przyjaciółki opowiadać, jak to łatwym sposobem przyszła do pięknéj

salopy. No, a dopiero wyżéj! — aj, palcem ruszę, 10 przyleci».

— Łżesz, biesie; np. wskóraj co z panią Maglewiczową.

— «E! bo też to wyjątek; mąż człowiek rozumny, roztropny, moralnie się prowadzący, — ona znów pobożna, skromna, do męża przywiązana, — w takiéj głowie i w takiém sercu, to dla djabła jakby zamurował».

— Widzisz więc, że tylko pleciesz, jak na mękach.

— «Zobaczy, pan dobrodziéj, jeżeli pan 20 lat jeszcze pożyje, co się to wszystko przy dzisiejszym porządku nie stanie. Za dwadzieścia lat myśli pan dobrodziéj, że ja będę od kota postaci pożyczał, albo od człowieka? Ja, panie, z rogami w mojéj naturalnéj postaci, bez żadnych płaszczyków będę chodził po miastach, jak gdyby w piekle; — w teatrze, na balach, gdzie pan chcesz, wnijdę bez zgorszenia kogokolwiek, brzęknę pieniędzmi i dosyć. — A niech się wówczas księża albo filozofowie odezwą — śmiało powiem: nie mogłeś dawniéj gęby nie żałować, nie teraz, kiedy górą nasi, odzywać się jak śpiewak na puszczy»?

— Spiriantus! nie mów hop! dopóki nie przeskoczysz; pierwéj, nim wy świat opanujecie, ja z rogów waszych drogę z Rzymu do Konstantynopola wybrukuję, waszemi kudłami 1000 kuźnic na 3000 lat w paliwo zaopatrzę, a z waszych ślepiów wystawię pałac, w którym się wojska całéj

Europy wygodnie i przestronnie pomieszczą; iżbyście zaś ludzi napróżno nie straszyli, wezmę kilku uczciwych księży i jednego dzielnego filozofa i Lucypera z piekła wypędzę, — rozumiesz mnie, belzebubie!

— «Rozumiem. Ale cóż tam z téj gołosłownéj kłótni przyjdzie, uczyńmy zakład».

— Jaki zakład?

— «Jeżeli pan dobrodziéj Lucypera z piekła wypędzić potrafi, ja dobrowolnie w święconéj wodzie będę się kąpał codziennie przez cały rok, — a jeżeli pan dobrodziéj Lucypera z piekła nie wypędzi, wówczas duszyczka pana dobrodzieja do nas należy».

— Nie, tak nie chcę — ale tak: jeżeli wam za lat 20 będzie wolno bezkarnie w waszych naturalnych postaciach chodzić publicznie pomiędzy nami, bywać w teatrach, na balach i w pomieszkaniach naszych, wówczas pozwolę ci, abyś mi oczy moje swojemi rogami wykłuł, — a jeżeli ja wygram, dam ci sto bizunów paskiem Św. Antoniego i ożenię cię z panną Kordulą.

— «Panie dobrodzieju! jakaż proporcya»!?

— Ja innego zakładu nie zrobię.

— «Gdybyś pan dobrodziej o swoją duszę założyć się chciał pod pewnemi warunkami z naszéj strony, mógłbym spisać cyrograf».

— Pod jakiemi warunkami?

— «Najprzód, żeby nie na 20 lat, ale na 50 lat rzecz poszła; ażeby powtóre, przez te 50 lat

nic ludzie nie pisali, nie drukowali; i po trzecie: ażeby przez ten przeciąg czasu żadne prawa obowiązujące nie istniały, tylko, aby każdy człowiek żył wedle swojéj oddzielnéj absolutnéj woli. — Ale, ale! byłbym zapomniał, aby opinia publiczna zupełnie wygnaną została».

— Wierzę, kundlu, że wtenczas i sam Lucyper założyłby się o swoje rogi. Widzę, że zakład nie przyjdzie do skutku; ale powiedz mi nawiasem, czemuś ty wygnanie opinii publicznéj do kardynalnych warunków dołączył, kiedy ona dzisiaj tak bardzo sponiewieraną jest?

— «Jednakowoż pląsa się jeszcze pomiędzy ludźmi; zresztą mniejsza tam o nią, stara to prababka».

— Ejże! mnie się zdaje, że ona wam więcéj zawadza, aniżeli ty w tę chwilę bąkasz.

— «Nie, jak honor kocham»...

— Ile razy psu-brat chce zełgać, zawsze się na honor zaklina; powiedz raczéj «jak Lucypera kocham»!

— «A nie, panie dobrodzieju! na Lucypera nie godzi mi się zaklinać»!

— Otóż, albo się na Lucypera zaklniesz, że opinia publiczna pomiędzy ludźmi żadnych dla was przeszkód nie czyni, — albo mi szczere zdanie o opinii odsłonisz.

— «Powtórnie upewniam pana dobrodzieja, że w żaden sposób na Lucypera zaklinać się nie mogę; gdybyś mnie, panie, i święconą wodą kropił, zgoła nie mogę».

— Więc wyjaw zdanie o opinii.

— «Jak poprzednio mówiłem, jest to zastarzały przesąd, który bywa niekiedy hamulcem dla niektórych ludzi w niektórych czynnościach, ale iżby miał wpływać stanowczo na działanie wasze, to rzeczywiście miejsca nie ma».

— Coś twardo ci idzie; ja więc bez twoich objaśnień powiem ci, że opinia publiczna jest potęgą, której się nietylko najwięksi łotrzy lękają — ale że za zniszczenie jéj na ziemi oddalibyście wszystkie zyski z pijaństwa, z nieczułości i rozwiozłości i wielu jeszcze błędów i występków. Opinia publiczna przeszkadza najwyższym zbrodniom, i potrzeba człowiekowi za życia być szatanem, aby ją lekceważył, aby nią gardził, aby się z niéj urągał. Głos opinii publicznéj, równie jak sumienie wgryzie się w każdą chwilę snu i jawu życia człowieka, — głosu sumienia i opinii publicznéj żadne rozkosze świata przytłumić nie zdołają; są to dwa najokropniejsze mściciele znieczyszczenia serca i duszy. Każdy zbrodzień, gdyby przed spełnieniem haniebnego czynu mógł odgadnąć, jakie męki, jakie prześladowanie, zdeptane sumienie i obrażona opinia publiczna za nim poniosą, jak go zawsze i nieodstępnie ścigać będą najśmielszemi wyrzutami, o! odrzekłby się po stokroć chwili, w któréj sumienie swoje i dobre imię za dogodzenie swym podłym i czarnym namiętnościom, lub bezwzględnie za garść złota zamienił.

— «Każda rzecz ma swoje *pro* i swoje *contra*.

Częstokroć sumienie jest niewolnikiem urojenia; opinia publiczna jeszcze częściéj w mniemaniu wymierzania surowéj sprawiedliwości potwarze z siebie na najcnotliwszych wyrzuca».

— Skoro urojenie zamienia się w zasadę; dopóki tego urojenia rozumem i sercem nie rozwiążemy, — sumienie święcie je szanować powinno. Opinia publiczna gdyby w tysiącu potępionych stu niesłuszną karą, potwarzą dotknęła, jeszcze będzie dobrodziejstwem bez granic. Potwarz jest to krwawy, okropny, bolesny, najdotkliwszy cios, jaki bliźni bliźniemu zadać może, — ale niewinne sumienie niesie cichą, skrytą, lecz błogą ulgę, — i prawdziwie cnotliwy, gdyby był najniesprawiedliwiej spotwarzonym, wygnania z pomiędzy ludzi opinii publicznéj nigdy żądać nie będzie, bo on wie, że, aczkolwiek przypisywanéj mu mylnie zbrodni nie popełnił, zawsze to jest winą jego, że się znajdował w takiém położeniu, na takiém stanowisku, w którém potwarz do najlżejszego prawdopodobieństwa zarzucanéj zbrodni, gdyby i cieniem zbliżyć się mogła. Prawda, że i wzór cnoty i poświęceń za dobro ogółu potwarz zjadliwym owionęła wyziewem, ale było to tylko chwilowe, przelotne zaćmienie i nigdy cnotliwego potwarz aż po za grób nie sięga.

— «Czy pan dobrodziej nie czytał historyi?... jak zaledwo po upływie wieków, przypadkiem, spotwarzoną cnotę w jéj istotném, w jéj należnem świetle odsłoniono»?

— Być mogło, być jeszcze może; ale dla bardzo rzadkich zdarzeń, dla kilku niewinnych ofiar, zbawiennych skutków potęgi opinii publicznéj zrzekać się, byłoby klęską dla świata.

— «Ale cóż się stanie z waszém: *pereat mundus, fiat justitia*"?

— To łudzące pozorną wielkością zdanie, gdyby się i właściwie na potępienie opinii publicznéj zastósować dało, jak w wielu względach czczą tylko jest wygłośnią albo tarczą, pod którą oddalona myśl zbrodni się kryje, tak i tutaj jeszcze niedostateczną jest bronią przeciw opinii publicznéj.

— «A czyż pan dobrodziej zapomniał o prawdzie z warsztatu wiedzy? wszakżeż to tylko taka prawda ma być zasadniczą; — daż się zaś opinia publiczna w piecu wiedzy absolutnego stanowiska zahartować? nie pęknież jéj ostrze pod młotami prawdy wiedzowéj?... aha! złapałem pana dobrodzieja».

— Nie złapałeś; ale ja dzisiaj do dalszéj rozprawy nie mam ochoty, jestem znużony, ruszaj spać.

— «Spokojnéj nocy panu dobrodziejowi życzę».

— Bodajś się jęzorem udławił.

— «Oj prawda! że pana dobrodzieja kaszy szydłem jeść nie uczono. Któżto panu dobrodziejowi powiedział, że od biesa dobrego życzenia przyjąć nie należy»?

— Gadaj do muru, — ja ci nie odpowiem, — i kończąc dzisiejsze pisanie idę na spoczynek.

16 czerwca o 10-tej wieczorem. — Hieronim nie chciał mnie puścić, byłbym jednakże odjechał, ale jak jego miła i anielskiéj dobroci żona zaczęła szczebiotać, gruchać i prosić, musiałem pozostać. Nie wiem, czy jest na świecie naród, któryby Polakom w gościnności zrównał. — Edwin sprawował się dosyć przyzwoicie, grał na fortepianie, śpiewał wyjątki z Roberta Djabła, i byłbym był zupełnie z niego zadowolony, gdyby nie figiel, jaki wypłatał kwestarzowi. Z południa ale jeszcze przed objadem przyjechał laik czy braciszek za kwestą; zaproszony, aby się na obiad zatrzymał, chętnie na to przystał. Mało nas było osób do stołu, Edwin więc sąsiadował z kwestarzem. Przed rosołem kwestarz się przeżegnał i zmówił modlitewkę, co zapewne djabła ubodło, a więc zanim braciszek łyżkę do ręki wziąść zdążył, pan Edwin poczęstował go tabaczką. Skory do takowéj przyjemności kwestarz należyty ładunek w obie dziurki wpakował; lecz zaledwo że się ku talerzowi schylił, tak nagle go mocna wietrznica nosowa napadła, że jak kichnął, wszystek rosół opryskał mu twarz i talerz pękł na dwoje. Wraz z Hieronimem śmialiśmy się do rozpuku. Pani Maglewiczowa zaś i dzieci wylękły się nadzwyczajnie, ale bo też aż szyby w oknach zadrżały. Biedny kwestarz wstał od stołu dla otarcia stłuszczonéj twarzy, wyszedł i już nie chciał powrócić, gdyż ciągle przez kilkanaście minut powtarzały się napady gwałtowne; podobno, że dopiéro po popłukaniu zimną wodą

obiad w pokoju pisarza prowentowego spożyć mógł.

Gdyśmy panu Zbrodniewskiemu zarzucali, iż taką psotę pokornemu laikowi wyrządził, tłumaczył się, iż jako żywo on tego przyczyną nie jest; pokazywał tabakierkę zarzekając się, że innéj nie nosi tabaki jak petersburską z francuską na wpół zmięszaną. Pani Maglewiczowa uczyniła uwagę, iż pan Edwin podczas swéj w ich domu bytności nigdy tabaki nie zażywał. Edwinio odrzekł, że istotnie nigdy nie zażywa i tylko do konwersacyi ze starszymi ludźmi tabakierkę przy sobie nosi. Piękna konwersacya! Szczęściem, że kwestarzowi nos nie pękł na dwoje. Pożegnałem się dzisiaj z ukochaném gospodarstwem domu i z ich maleńkiemi dzieciaczkami, bo jutro bardzo rano wyjechać pragnę.

18 czerwca. Wczoraj wstąpiliśmy jeszcze do dwóch domów wiejskich obywateli, i to tylko na kilka godzin, bo listy odebrane z Warszawy nakazywały mi przyspieszyć mój powrót. U pana Pogodnickiego znaleźliśmy nader piękny księgozbiór, gospodarstwo wzorowe i wszystko umysłowemi postępami XIX wieku tchnące i nacechowane. Edwin utrzymywał, że pan Pogodnicki do wyjątków należy. Ale gdyśmy u pana Jasnowicza tak samo jak i u pana Pogodnickiego zastali, skwasił się i rzekł: «z przykrością wyznaję, żem się tego nie spodziewał; znałem ojca: zuch szlachcic do korda, sami djabli go respektowali w téj mierze, ale za to w domu nieład, ciemnota, gościnność w wyuzdaną

rozpustę zamieniona, a prócz kalendarza Pukszty i książki jéjmościnéj od nabożeństwa innego druku nie znali, — byłbyś panie od razu przyznał, że to spuścizna po Sasach: léj, rozléj, ściskaj, wrzeszcz i całuj, ale o mądre słówko nie pytaj! Gdzież to syn do ojca podobny! stoliki, które kiedyś pod butelkami stękały, dzisiaj założone pismami, wzorami, modelami, jak gdyby u jakiego księgarza i mechanika razem. Co on gadał, że ta prześliczna stołowa bielizna z jego fabryki pochodzi? — toćże tu dawniéj także kilka zagonów lnu i konopi zasiano, iżby drelichu na worki nie kupować i dla służących co grubszego zrobić płótna, ale zresztą wszystkie inne lniane wyroby sprowadzało się z zagranicy».

— Widzisz tedy, belzebubie, że my się opamiętywać zaczynamy i żeśmy poznali ów wielki występek rolniczego kraju kupowania lnianych wyrobów od cudzoziemców. — Prawda, że małą jeszcze liczbę naśladowców znalazł pan Jasnowicz, niemniéj dla tego szczyci się rzetelną wdzięcznością godniejszych obywateli, którym wskazał praktyczny wzór, jak się ze lnem obchodzić, jak go bielić, jak go na maszynach prząść, na kopowe płótno i na piękne obrusy wyrabiać należy. A wiesz ty, kundlu, czém to pachnie? oto, jak przez postępy wynalazków i zamiłowanie przemysłu i porządnego gospodarstwa dojdziemy do tego stopnia, że nasze potrzeby na drodze uczciwych zysków a nie na uciemiężeniu i nie na pijaństwie chłopów ugruntu-

jemy, że stan wiejski pracę swoją sprawiedliwie wynagrodzoną mieć będzie, — wówczas i ścisła moralność wszechstronne, obszerne rozłoży panowanie, a wy biesy chyba pomiędzy dzikiemi ludami zdobyczy szukać będziecie.

— «Ho! ho! ho! daleko jeszcze do tego! a dla czegoż nie wstąpiliśmy do Rozdętowicza? do pana Zgoniny? do Dymalskiego? do Kuflewicza?... Wielkie rzeczy z pięćdziesięciu wybrać dwóch i nimi ogół zastawiać! Nie spostrzegłeś się pan dobrodziej, że będziemy przejeżdżali przez miasteczko, w którém jest jarmarczek; zaraz ja tam panu dobrodziejowi pokażę znów moich partyzantów».

Jakoż niezadługo dojechaliśmy do czerniących się chat ciasno w ulicy zbudowanych, przy końcu której na kwadratowém wzgórzu morze głów ludzkich nieustannym kołysało się ruchem. Gwar i wrzask tocząc się po rozległych polach i łąkach, oparłszy się o ściany gęstych gajów szukał drożyny albo szerokiego gościńca, aby się daléj rozlewał, bo na jednéj przestrzeni było mu za ciasno.

Niechaj śmiały malarz poważy się na ten wielki obraz! niechaj te siwe, czarne, z błękitnemi, z zielonemi i gdzieniegdzie jeszcze z czerwonemi wierzchami baranie nagłowia chłopków naszych dobrze zmiesza z drugą niemal połową kapeluszy i czapek żydowskich, niechaj potrzęsie mnóstwem białych czepców kobiecych i różnéj barwy chust; niechaj nie zapomni o kaszkiecikach z rydelkami panów dzierżawców i ekonomistów; niechaj wyrysuje 500

rąk żydowskich w górę podniesionych, które dla dobicia targu mierzą w szerokie dłonie chłopków; — poza płóciennemi budami niechaj odmaluje przeprowadzane woły, krowy, cielęta, nierogaciznę, gromadki schudzonych koni, na których żydowskie szajgece lub stare szachraje po głębokiém błocie kłusem się puszczają; — a na uzupełnienie niechaj i żydówki, towary krótkim łokciem mierzące i wiejskie niewiasty z gęsiami, z kurami pod pachą targujące się, — i niewidomych i kulawych dziadów dwa rozstrzelone tuziny umieści: będzie zwierzchnia całość w zupełności. Ja tymczasem pójdę za Edwinem do domu pana Herszka. — Przez pierwszą wielką izbę, w któréj kilkaset rozmarzonych głów hałasowało, w któréj tyleż pąsowych twarzy płci obojéj tysiące szczerych odbierało całusów, w któréj silne ramiona pod serdecznemi uściskami trzeszczały, w któréj wypłaty za uczynione kupno z wielką trudnością rachunku odbierane były, w któréj zapach gorzałki, śledzi i jarmarcznych kołaczy walczył o pierwszeństwo z innemi wyziewami, parci i popychani, jak gdyby twierdzę zdobywając dostaliśmy się do szabasowych pokoi rodziny Herszka. — Poncz, herbata, kwaśne wino i zwietrzały porter, 4-ch dziedziców, 19 dzierżawców starych i młodych, trzech od sądu, dwóch z obwodu i z kasy miejskiéj, — pięciu w czarném ubraniu, burmistrz w uniformie i rzeźnik warszawski z trzosem na wspaniałym brzuchu, kilku podleśnych rządowych po służbie ubranych, żydzi z piernikami

i z karmelkami bezprzestannie wrzeszczący: «cetno! licho»! posługująca Ryfka i zwinny Abrahamek, do czego dołączywszy przyległy alkierz, w którym ekonomowie, gorzelani i pisarze prowentowi w liczbie niepośledniéj za przykładem swoich panów trunkami się zasilali, oto trzeci obrazek, — i jest cały jarmark.

Co w salonie pana Herszka mówiono, o czém rozprawiano, trudno powtórzyć, bo i tam jak w wielkiéj szynkownéj izbie krzyżowały się języki i tylko panującemi były głosy: «jeszcze sześć szklanek herbaty! — cztery szklanki ponczu! — cetno! licho! — dwie butelki porteru, — hej, panno Ryfko, butelkę wina! — ponczu ośm szklanek! — szajgec, porteru! — walny jarmark»!

Z przed okien zaś dochodził śpiew zataczającego się kmiecia:

„Pódźma do doma!
Pódźma do doma!
— Gorzałeczka szepce:
Napijta się jesce“!

Już o mil kilka zostawiliśmy jarmark za sobą a przecież drogi i wszystkie karczmy napełnione były pijanymi z jarmarku, a tych jarmarków w każdém niemal miasteczku po 12 do roku! — Nadto przypomnijmy sobie liczne odpusty a dziwić się nie będziemy, dla czego tak gęsto gorzelnie stawiają. Niewątpliwą jest prawdą, że przynajmniéj 100 razy do roku połowa naszéj ludności bywa

jeżeli nie najzupełniéj pijaną, to rozmarzoną aż do odurzenia zmysłów.

Smutnemi uwagami zajęty nie stawiłem oporu prośbie Edwina, abyśmy nigdzie nie nocując, spieszniej do Warszawy przybyli; djabłowi pilno było do miasta.

Dzisiaj o godzinie 7-méj rano stanęliśmy w Warszawie. Żona moja na pierwszy widok Edwina uczuła do niego wstręt nadzwyczajny, i zwykle gościnna tą razą prosiła mnie, abym pana Zbrodniewskiego do naszego pomieszkania nie przyjmował. Nie wyjawiając rzeczywistych powodów przekonałem ją, że pan Edwin u nas koniecznie mieszkać musi; jakoż dałem mu osobny pokój z oknami na ulicę.

Hultaj rozgościł się na dobre; ubrany w czerwony szlafrok, z ogromnym bursztynem w ustach puszcza na ulicę kłęby *Turka,* który zdaje się mieć siłę magnetyzującą kobiety, bo każda niemal z przechodzących podnosi w górę melancholiczno-mdlejąco-romantyczne oczy, i sam słyszałem, jak gąski podziwiały piękne włosy młodzieńca; — ale bo też pan Edwin włosy przedewszystkiem w najmodniejsze zaokrąglenia ułożył i cudnemi olejkami namaścił. Zakazałem mu surowo, aby wizyt żadnych nie przyjmował, aby bez mojego pozwolenia nie wychodził. Będę miał z nim biédy niemało, bo tylko drży do miasta. Już się dowiedział, co będą w teatrze grali i chce być koniecznie na balecie.

20 czerwca, późno w nocy.

— Jak widzę, mości djable! zapomniałeś o winném mi posłuszeństwie, o uroczystych przyrzeczeniach i od 36 godzin przynajmniéj 36 razy na karę zasłużyłeś.

— «Panie dobrodzieju! do szlachetniejszych uczuć gościnności pańskiéj odzywam się i proszę, racz bez gniewu, bez uniesienia, powiedzieć mi, w czém zawiniłem»?

— W czém zawiniłeś? Bezczelniku! a 7-my numer loży pierwszego piętra?!... a owo narzucanie się tym młokosom, z którymi się na niecne bachandrye zmawiałeś?! A te konszachty z podejrzanemi osobami?! — A z czyjéjże to winy, że ja przez 12 godzin na lewe ucho słowa jednego zrozumieć nie mogłem, hę?

— «Najszanowniejszy panie! ale czyż można było wstrzymać się od najszczytniejszego zapału! kiedy to piękne stworzenie, ledwie końcem drobnéj nóżki dotykając ziemi, dłutem mistrza utoczoną postacią, czarującym obrazem zawisło w powietrzu, kiedy nagle rzucając się z najrozkoszniejszym powabem na rękę kochanka, okoliła jego głowę różanym obłokiem, i pochylona ku widzom niosła zabójcze na naszę spokojność spojrzenia; albo znów, gdy wartkim polotem roztoczyła bogactwo wdzięków, przed któremi sam Kupido płomieniemby się zapalił! — i jaż miałem być głazem bez czucia, bez zmysłów, bez serca, bez duszy»?!...

— Stój, błaźnie! to za wiele: — o jakiéj duszy gadasz?

— «Panie! o duszy estetycznych pojęć, sztuki, postępu XIX stulecia! o duszy filozoficznemi marzeniami nieskalanéj, o duszy niewinnych młodzieńców»!

— «Głupców»! chciałeś zapewnie powiedzieć!

— «E! bo pan dobrodziej mantyczy; czemuż młodzież nie ma mieć téj przyjemności zabawienia się grzmotem poklasków»?

— Łotrze! ja nie zabraniam uczcić talentu artystki ale nie z taką szaloną wściekłością, do jakiéj wczoraj pobudzałeś. Bez miary, bez granic wrzeszczyć, pukać, ryczyć, wyć, piszczyć, skomlić, a toćże artystka w balecie nie jest zwierzęciem w kniei; i co innego jest, jak już rzekłem, uczczenie talentu, a co innego do osoby zastósowana najnieprzyzwoitsza, jawna gwałtowność, która i artystkę i publiczność obraża. — Ty mnie dobrze rozumiesz! ale to właśnie twoja pociecha tego rodzaju namiętności młodych ludzi. O! ty byś rad był, żeby na każdym balecie tuzin młokosów zwaryowało, aby ugrzązłszy w najgrubszą zmysłowość, każdy zapomniał o swoich obowiązkach, o rozsądku, o rozumie, — a ty byś już potrafił z błędów lekkomyślności do występków i dalej jeszcze poprowadzić; i podobno, że wy biesy niczego więcéj nie pragniecie, jak z młodego serca wygluzować umiarkowanie i czystość obyczajów.

— «A cóż pan dobrodziéj żądasz, abyśmy djabli moralności przykłady dawali»?!...

— Dopóki pod moją władzą zostajesz, zabroniłem i zabraniam ci, czarcie, wszelkich spraw szatańskich. A któż to przyrzekł, że się będzie sprawował najskromniéj, najprzyzwoiciéj; że regularnie każdego dnia opowie mi, co widział, jak widział, w czém złe, w czém dobre znalazł, z jakich przyczyn powstało to złe lub dobre. Miałeś, lamparcie, zapoznać się z literatami warszawskimi.

— «Znam wszystkich».

— Nie przerywaj!... miałeś zgłębić ich zdolności, ich chęci, — a ty z gąskami wojować, mlecznych lwów za nos prowadzać i lekkim zarobkiem na swoję rękę trudnić się chcesz, — oho! nie taką była nasza umowa! Spiriantus! gorżko ty pożałujesz lekceważenia zwierzchnictwa mojego, i jeżeli jedyny raz jeszcze zejdziesz z drogi, jaką ci zakreśliłem, nie w psa, jak dawniéj, ale w małpę zamienię i każę cię przez 3 lata oprowadzać po mieście; aby się z ciebie uliczne chłopaki naśmiewały, i na większy wstyd przy zewnętrznéj postaci małpy rogi djabelskie zostawię. Uciekasz od literackiéj posługi, a więc dobrze! zrobię z ciebie baletnika! będziesz małpa-djabeł z niedźwiedziem po ulicy tańcował.

— «Panie dobrodzieju! prawda! troszeczkę się zabałamuciłem; ale jak honor kocham, poprawię się od poniedziałku. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Od poniedziałku poprawię się».

— A przez sobotę? i przez niedzielę?...

— «Te dwa dni, panie dobrodzieju, to jeszcze moje. Na jutro zaproszony jestem na kawalerskie śniadanie. W niedzielę rano jedziemy w dobraném towarzystwie płci pięknéj, *incognitissime*, omnibusem, panie dobrodzieju, o półtory milki ztąd na śmietanę. Hrabia przyrzekł 12 butelek szampańskiego; syn restauratora zabierze sarnią pieczeń i pełen rondel kotletów; aplikant sądowy zaopatrzy się w apelzyny i karmelki; cytryn i araku ja dostarczyć zobowiązałem się: — dziewczęta o bieliźnie, o nożach i o widelcach pamiętać będą, — gracko się zabawimy; a od poniedziałku już na cały miesiąc zabastuję».

— Nie! nic z tego nie będzie.

— «Ale ja dałem słowo honoru!... omnibus zamówiony»!...

— Patrzaj osła! ja dla twojego zaszarganego słowa honoru i dla omnibusu mam pozwalać, abyś ludzi djabelską śmietaną częstował?...

— «Oni już dawno tę wycieczkę umówili pomiędzy sobą, i byliby jeszcze w zaprzeszłą niedzielę wyjechali, ale rabiata zgrała się i dopiéro wczoraj za moim pośrednictwem pożyczył im pan Fantoski kilkadziesiąt dukatów».

— Cóż to za jeden ten pan Fantoski?... zapewne brodacz.

— «O nie, panie dobrodzieju nie żyd, — nie! Godny, bardzo godny obywatel! żyje sobie w Warszawie z obrotu pomniejszych kapitałów; człowiek

rozsądny, w wielkie przedsiębiorstwa nie wdaje się, — tak sobie na zastaw a przytém na kilka solidarnych podpisów pożyczy 500, 1000 a najwięcéj 2000 złp.; — od tego weźmie po 5, od tego po 7, czasem i po 12 procentu na miesiąc, wedle nagłéj potrzeby pożyczającego i wedle okoliczności. — Człowiek umiarkowany byle widział bezpieczeństwo, uczynny nad miarę, a przecież często za jego dobre serce przyjdzie mu po sądach się świecić, i nieraz odrzekłby się być bliźniemu użytecznym, tylko że już tak przywykł do uczynności, więc z dnia na dzień pomaga dobrym przyjaciołom».

— Dawno się znasz z panem Fantoskim?

— «On jeszcze był kamerdynerem u pana wojewodzica*... dwadzieścia lat temu jak my się przyjaźnili, — i tamto uzbierał sobie nieco grosza».

— A cóż ty u wojewodzica*... porabiałeś?

— «Ja, panie dobrodzieju, byłem do tego domu oddzielnie przez Lucypera delegowanym».

— I dobrześ się sprawił; znanym mi jest koniec nieszczęśliwego!

— «Ale się też, panie, wyjeździł do woli. Przez trzy zimy bawiliśmy w Paryżu, — latem po Włoszech, po Szwajcaryi, *a zawsze extra-pocztą*, jak gdybyśmy kogo gonili, bo wojewodzic lubił szybko jeździć. Znów kiedyśmy sprzedali ostatni klucz na Wołyniu i pałac w Warszawie, zachciało mu się poznać miasto Wschodu. Pamiętam na złość ks. biskupowi, który był rodzonym bratem nieboszczki

wojewodziny, w pierwsze święto Wielkiéj Nocy, ruszyliśmy na Wschód. Rozumiałem, że i moich djabelskich kości nie starczy, bo to dzień i noc przez 11 dni jechało się do tego Stambułu: ale jak dał słowo, tak dotrzymał; 3 Maja stanęliśmy w Konstantynopolu. Słońce już ostatnim promieniem złociło księżyce mahometańskie; podówczas wierny jeszcze alkoranowi muzułmanin»...

— Zabierał się do modlitwy, a wyście spać poszli.

— «Tak było istotnie, gdyż wojewodzic ledwo że się na nogach od znużenia trzymał. Cały tydzień z łóżka się nie ruszył; lecz jak sobie téż odpoczął, nie próżnowaliśmy, panie dobrodzieju».

— Mogę się domyśleć i nie ciekawy jestem spraw waszych, — ani mnie téż w inne pole nie wywódź; — raczéj słuchaj, co ci rozkażę. Jutro będziemy na literackim wieczorze; od rana więc zaraz zasiądziesz do przejrzenia ostatnich poszytów wszystkich pism peryodycznych, w Warszawie wychodzących, abyś mógł z każdym redaktorem właściwie pogadać, każdego zobowiązać dla siebie, bo ci panowie najchętniéj o swoich pismach rozprawiają.

— «Wiem, wiem; — o moje postępowanie w téj mierze nie turbuj się pan dobrodziéj; już ja każdemu jego konika pogłaskam; ale to piérwéj być nie może jak w przyszłym tygodniu. Sobota i niedziela to do mnie jeszcze wyłącznie należeć będą».

— Ani godziny! ani jednéj sekundy lamparcie! a nie zechcesz dobrocią słuchać, sprawię ci łaźnię, aż w piekle będzie słychać!

Edwin zaciął zębów, przeszedł się po pokoju i niegodziwym wzrokiem rzuciwszy po książkach rzekł:

— «Nie pierwszy to raz, że ja dla téj głupiéj literatury pozbawiony zostałem wielu przyjemności! Proszę pana dobrodzieja, cóż mam czytać»?

— Tylko bez tych dąsów, bardzo proszę! Oto waść przejrzysz od deski do deski 24 poszyty Biblioteki warszawskiéj.

— «Takie grube książki?! chyba całą Europę opisali».

— Zobaczysz może i wszystkie 5 części świata; właśnie ja chcę, abyś ty wyciągnął treść i późniéj, abyś mi napisał sumienną recenzyą.

— «A cóż na to powie redaktor Roczników Krytyki Literackiéj? wszakżeż to jego powinność [1]).

— Monopolium w literaturze nie istnieje. Nadto ja będę waćpana prosił, abyś i krytykę skrytykował. Otóż masz 104 numera Roczników. — Daléj raczysz przeczytać przegląd Naukowy.

(Skrobiąc się po głowie):

— «Nie wiem, czy ja trafię do ładu».

— Rozumiem, że przecież osłem nie jesteś?

— «O to mnie jeszcze nikt nie posądził, ale»...

— Schowaj swoje ale do kieszeni; teraz zaś słuchaj: następnie przeczytasz mi od deski do deski Pielgrzyma.

---

[1]) Henryk Lewestam.

— «Cóż, pan dobrodziej żartuje? wolałbym, żeby mnie pan dobrodziej w pudla znowu zamienił».

— Aha! zapewne by ci nie w smak było czytać przedmiot czystéj moralności.

— «Żebym ja nigdy Lucypera nie oglądał, jeżeli to jest czysta moralność».

— Ja się teraz nie wdaję w rozprawy; przeczytasz od deski do deski.

— «Nie, nie przeczytam».

— Spiriantus! ne in vitia et scelera ruat sponte — ad tuum inclitium horpiacum hodacum.

— «A bodaj»...

— Cicho! daléj masz oto...

— «Pan dobrodziej uwziął się na mnie dzisiaj. Ja mam taki stos bredni i klejonek przeczytać»?

— Od czego jesteś djabłem, — tylko że mazur, czytać się nie chce, — hulać! do tego jedyny; to tobie za ciężko 100 książek przez jednę noc przeczytać, a niemiecki Mephistopheles czasem 1000 na godzinę połknie i strawić nie może, a jednakże jak kto zagadnie, nigdy w odpowiedzi dłużnym nie zostanie.

— «To tam już inna krew; co my polscy djabli smołę, to owi znów niemieccy atrament za napój używają. Słyszałem nawet, że u nich jak chirurg puszcza krew niemieckiemu filologowi, to nie krew tylko prosto atrament ciecze».

— Jakiś ty głupi!...

— «Nie, to nie żarty. Może mi pan dobrodziéj zawierzyć, że pewien uczony niemiecki przez

18 lat pisał rozprawę, iż tam gdzieś w jedném miejscu zamiast *omegi*, *omikron* być powinien, i po śmierci znaleźli doktorzy w jego żołądku omegę [1]) tak napęczniałą, że miała półtrzecia łokcia średnicy; — albo pewien astronom jak się raz w Monachium zaczaił na gwiazdę, 14 dni nic nie jadł, i nieborak zmarł z głodu z lunetą w ręku, nie doczekawszy się gwiazdy. A po śmierci nawet teraz w Walhalli nie postawili jego popiersia, tylko polskiego Kopernika zwarowali, na wielki wstyd swój i hańbę. Lucyper się śmiał czytając te dwa artykuły pana dobrodzieja o Koperniku».

— Cieszy mnie to, że pan Lucyper raczył się mojemi ramotkami rozweselić; — tymczasem dosyć téj gawędki, zabieraj książki i ruszaj do swojego pokoju.

Pan Edwin uwiązawszy w postronek ogromny stos książek; zarzucił sobie na plecy i z podziwieniem zawołał:

— «Istotnie nie wiedziałem, że to taki lekki pakiecik»!

— Czekaj, dołożę ci najnowsze dzieło Cieszkowskiego.

— «Panie dobrodzieju! nie po polsku pisane, więc nie do tego referatu należy. Ja tu już mam

---

[1]) Dla czytelników, którzy się w szkołach językiem greckim nie męczyli, czynię objaśnienie, że *omikron* i *omega* są to dwie litery z alfabetu greckiego. Omikron i omega mniéj więcéj tak z sobą graniczą jak nasze *i* i *j*.

odłamek jego Filozofii Jońskiéj, ale nie bardzo ciężka; — ten artykuł o Salach Ochrony, to mnie parzy cokolwiek».

— Już ciebie tam więcéj artykułów poparzy i radzę ci, nie nad wszystkiemi stronnicami blisko nos trzymaj.

— «Ja się więcéj lękam, jak zacznę poezye czytać, abym nie zasnął; — ale, proszę pana dobrodzieja o funt świec stearynowych».

— Może lampę astralną oliwą nalać ci potrzeba? Pazury sobie, kondlu, zapal, będziesz miał stearynowe świece. Strzeż się tylko, abyś mi swojemi ślepiami książek nie popalił; błazen! świec mu się zachciało; — pozwalam mu małpować przy nieznających jego legitymacyi, a on i przedemną chce fałszywą rolę odgrywać.

— «Nie moja będzie wina, jak wszystkiego dobrze nie przeczytam».

I moja wina nie będzie, jak ci dam kropli Asmodeusza na przeczyszczenie twoich ślepiów.

— «Dobranoc panu dobrodziejowi».

— Jak ty mnie jeszcze raz będziesz dobréj nocy życzył, to ja ci, belzebubie, zęby wybiję.

— «Pan dobrodziéj więc twierdzi, że ja z dobréj woli nigdy szczerym być nie mogę. Otóż na przekór będę szczerym. Te wszystkie książki w rękopismach jeszcze czytałem, do ocenienia literatury warszawskiéj przygotowań żadnych nie potrzebuję: siadaj pan dobrodziéj, bierz pióro i pisz».

Ciekawy co mi podyktuje, siadam i czekam.

Djabeł położył rękę na czole, odchrząknął i tak dyktować począł:

— «Odległość czasu początków cywilizacyi, miejscowe wypadki szczęśliwe lub nieszczęśliwe, pokój, wojna, klimat nawet i bardzo wiele innych różnorodnych okoliczności wpłynęło na stopień naukowego wykształcenia każdego narodu, a jakim był i jakim jest ten stopień, literatura wierzytelne o tém dać by winna świadectwo. Polacy w XVI wieku stali na wysokim stopniu ukształcenia naukowego; ale ponieważ ich oświata w największéj części płynęła z dzieł Greków i Rzymian, literatury więc samoistnéj, rodowéj bardzo małe napotykamy ślady. W wieku XVII makaronizmy łacińskie przepełniły dzieła polskie aż do obrzydzenia; na wiek XVIII-ty francuzczyzna przeważny a więc szkodliwy wpływ miała; w XIX dopiéro stuleciu, mianowicie od lat kilkunastu poczyna się rozniecać samoistność literatury polskiéj. Czyli obecnie Polacy są w stanie przejścia, czyli już na samėjże drodze samoistności, zachodzi pytanie. Podług mojego zdania nowy się zjawił nieprzyjaciel i odrzuciliście rzymskie przyłbice, mało już używacie francuskich kapeluszy, ale wam gwałtownie wciskają na głowy nowe, niemieckie kaszkieciki, i dzisiaj odezwać się dosłownėm powtórzeniem giermańskich pojęć uchodzi u was za najwyższą mądrość i jest niezaprzeczanym przez nikogo patentem na bardzo głęboko uczonego! Zapominacie, że Kopernik nie umiał po niemiecku; że Polska w XVI

wieku w umysłowém życiu o wiele przewyższała Niemców; że rzeki i pasma gór nie stanowią granic znakomitych zdolności, ani wielkich idei nie oddzielają. Niewolniczo czołgając się za wyobrażeniami niemieckiemi, własnym siłom nie ufacie, — o wywalczeniu się z narzuconych wam więzów umysłowych obczyzny nie myślicie; gnuśność wasza w ubitym gościńcu najbardziéj smakuje i zdaje się, że jak niewidomy, gdyby mu kij z ręki wyrwano, upadłby na pierwszym wyboju, tak wy teraz bez niemieckiéj filozofii przeszlibyście w krainę zupełnéj ciemności i spalibyście snem spokojnym, dopókiby znów jaki inny naród z letargu was nie ocucił. Nawyknienie nieufania siłom własnym jest u was tak wielkie, że się zamieniło w wiarę rzeczywistéj niedołężności, a bodaj nie w niedołężność samę. Każdy więc samoistny, rodowy pisarz, chociażby jeszcze był w powijakach, jest gwiazdą waszego zbawienia, a kto promieni téj gwiazdy w ogniste słońce rozniecić nie usiłuje, kto przy obcym płomieniu wygrzewa się, a domowe iskry nogami potrąca, podobien jest do psa bez własnego pana, który po sąsiednich chatach najpodlejszą, bo z łaski rzucaną, niezasłużoną karmą się żywi».

— Cóż ty kazanie dyktujesz?

— «Wolno było panu dobrodziejowi moje uszy nacierać? a teraz prawdy słuchać się nie chce».

— Ja od ciebie żądałem skreślenia obecnego stanu literatury warszawskiéj...

— «Zaraz, zaraz; przecież bez poważnego wstępu nie można żadnéj rozprawy zaczynać. Pisz pan dobrodziéj *a capite:*

Warszawska literatura w bieżącym stuleciu zapragnęła przodkować; ale wieszcz litewski dał jéj szczutka w nos i pozbawił ją wszelkiéj reputacyi [1]).

Po takiéj konfuzyi nadwiślańska jejmość zaczęła powoli zażywać lekarstw otrzeźwienia, lecz dla nadzwyczajnych przeszkód długo się guzdrała z obliczeniem i zebraniem sił swoich jeżeli już nie do przodkowania, to przynajmniéj do wystąpienia w szeregi. Wreszcie około 1840 roku coraz to gęstsze jawiły się posyłki i wkrótce téż istotnie wystąpiła w znacznym co do liczby poczecie sług, pięknych chęci pięknych nadziei, jaśnie wielmożna literatura warszawska.

Nie licząc referentów na czysto, przynajmniéj pół sta piór skrzypnęło od razu. Właściciele drukarń z niewysłowioną radością poskoczyli do pracy. Publiczność oblegała księgarnie z zapytaniem, czyli już co wyszło nowego. Na ulicy widząc człowieka, który nieskończone odbierał ukłony, można się było założyć, że to jest autor! — a nie mówić o literaturze, było najwyższém siebie samego upośledzeniem. Nadwiślańska pani widząc, że tak wyraźnym oczekiwaniom godnie odpowiedzieć należy, zwołała sług swoich i w następne odezwała się słowa:

---

[1]) Adam Mickiewicz w rozprawie swojéj „O krytykach i recenzentach warszawskich".

Czytająca publiczność głodną jest! potrzeba dla niéj karmy. Panowie autorowie kucharzami! panie autorki kucharkami jesteście! żądam od was abyście z kolei objawili, jakie potrawy gotować potrzeba, aby zadość uczynić wszystkim warunkom obecnego czasu i aby potrawom nadać smak najmodniejszy. — Wówczas powstała wrzawa nie do opisania; każdy chciał, aby tylko jego potrawę gotowano.

— Panie! Panowie! proszę się uciszyć:

— Cóż waćpan gotować chcesz, mości Kazimierzu [1])?

— Ja — odrzekł mąż poczciwego serca, — radzę im dawać groch z kapustą i schab wędzony. Jedzenie polskie, będzie im smakować, a kto się poskarży na niestrawność, więc niechaj się gdzieindziéj stołuje.

— A waćpan, mości Auguście [2])?

— Ja, czcigodna pani! rozumiem, że przedewszystkiém wypada oczyścić ich żołądki z zastarzałéj flegmy, wziąć na głodową kuracyą i poić tylko kleikiem z kaszy filozoficznéj. Późniéj cywilizacyą na rzadko.

— A pan Antoni [3])?

— Ja, pani dobrodziejko, jestem za leguminkami słodkiemi i lekkiemi, żołądki naszéj publi-

---

[1]) K. Wł. Wójcicki.

[2]) August Cieszkowski.

[3]) Antoni Szabrański.

czności najprędzéj to strawią; można i omlecik estetyczny, — ale przedewszystkiém porządek w stołowaniu utrzymać radzę.

— Mości Michale [1])?

— Z panem Kazimierzem jednego jestem zdania; lecz mniéj grochu i kapusty, a więcéj wędzonego mięsiwa.

— Panie Feliksie [2])?

— Ozory z chrzanem, z sosem nie afirmative ale negative, po francusku.

— Panie Leonie [3])?

— Ja nie liczę się do kucharzy.

— Ale się waćpan wmieszał pomiędzy kucharzy.

— JWPani raczyłaś zapomnieć, że jestem zaszczycony wezwaniem na urząd pierwszego szambelana literatury warszawskiéj.

— Przepraszam, przepraszam; bardzo dobrze, jesteś znanym z poczciwości, będziesz użytecznym.

— A ty, przezacny antipodo?...

— Moje potrawy są rozmaite: bryndza węgierska, pierogi krytyką nakładane; także schab wędzony, ale przy każdéj potrawie opium z fajeczek bajronowskich.

Długim był jeszcze szereg zapytanych i odpowiadających; — wielu zalecało ogrodowiznę,

---

[1]) Michał Baliński.

[2]) Feliks Zieliński.

[3]) Leon hr. Łubieński.

krem z końcówek, marmuladę z powiastek; jakiś czarniawy jegomość chwalił zrazy mytologiczne, odezwało się kilku na ochotnika z pasztecikami z mózgu cielęcego; zgoła nie ma takiéj potrawy w literaturze, którąby częstować nie chciano; — a toćże i pan dobrodziéj figami krajowemi służyć się obowiązał».

— I cóż się stało?

— «Oto j. w. literatura godząc tę pierwszą czeredę postanowiła, aby wszystko razem w jednym kotle gotowali, mówiąc: «Będzie to zupa rumfordzka, znajdzie wielu lubowników, — a gdyby siostra moja z Wilna, pani Szczypalska, miała się z was naśmiewać, odpowiecie jéj, że i ona chłodnikiem częstuje, w którym się znajdują ogórki i cebula i czosnek i bardzo wiele *raków ukraińskich,* a i botwiny poddostatkiem».

— Mości Edwinie, cóżto za siostra Szczypalska?

— «Jakto? pan dobrodziéj nie wie, że w Krakowie mieszka najstarsza siostra pani Drzymlik; we Lwowie pani Nygusowicz; w Wilnie pani Szczypalska; w Poznaniu pani Krzyczkowska bogata! — Pokutnicka zaś jest na kuracyi i podobno, że z wielu już chorób szczęśliwie się wyleczyła, z chorób, które pani Miernickiéj w Warszawie bardzo dokuczają. — Otóż jest sześć rodzonych sióstr, bo pani Młodziaczek w Pradze, to znów jest przyrodnia. Późniéj panu dobrodziejowi objaśnię tę całą genealogią, tymczasem o pani Miernickiéj dokończyć potrzeba:

Gdy tedy już zupę rumfordzką rozdawać zaczęto, cisnęło się jeszcze bardzo wielu pasztetników, piekarzy, cukierników, bab z ciastkami, z owocem; sklepikarzy z serdelkami, — trudno i spamiętać, — ale przyszli także jeszcze i kucharze i kucharki żądając osobnego pozwolenia na garkuchnie.

— Cóż wy dwaj panowie?

— Ja, pani dobrodziejko, pragnę gotować heglowskie kluseczki na mléku, a na odmianę w occie siedmiu złodziei moczoną estetykę niemiecką; mój kolega zaś węgorza na szaro z polskim sosem.

— A waćpani?

— Żur filozoficzny, pyzę melancholiczną i makaron jezuicki opiekany w świeżym stylu, jak teraz we Francyi najwięcéj używają.

Poczém ciągle się jeszcze zgłaszali na usługi pani Miernickiéj — o! jeszcze na kilka garkuchni wydano pozwolenia; gdańska kuchareczka, bardzo miła i przyzwoita niewiasta, prosiła o pozwolenie gotowania szparagów na Nowy Rok; jakiś kuchmistrz ascetyczny zobowiązał się grzyby z rzymskim sosem doprawiać; to znów pewien kucharz przyobiecał piec baranka na święta wielkanocne; — odświeżono gospody dla wieśniaków, gdzie sprzedają głowiznę agronomiczną i żołądź w wiślanéj wodzie gotowaną; — a kuchcików, dziewcząt do pomywania rądli, chłopców na naukę, toby na wołowéj skórze nie spisał. Każdy cisnął się do pani Miernickiéj, a ona wszystkich przyjmowała wiedząc,

że i z téj gawiedzi może się z czasem coś dobrego usposobić. Nadewszystko z tylu robotników musiała przecież korzyść osiągnąć, i toć że przed trzema laty nie miała bardzo i w co się ubierać, a teraz chociaż sukienki nie bardzo bogate, ale jednakże już może wystąpić. Wczoraj była na Wiejskiéj Kawie; szkoda, że jéj pan dobrodziéj nie widział. Miała ogromny kapelusz fioletowy, na nim wstążeczki ascetyczne w małe kokardki wiązane; loki filozoficzne, ale przyprawne, nie ze swoich włosów; salopę z pism peryodycznych w kilkanaście *bretów*, bardzo buchastą; na szyi szalik z gazy dramatycznéj z lirycznemi kutasami, na kształt złota, ale to szych; — suknią agronomiczną modną, lecz krzywo przykrojoną, z ciasnemi rękawami; burnus z romansów i powieści; bóciki safianowe na pedagogicznych podeszwach, z boku sznurowane; rękawiczki z glansowanéj medycyny, i torebkę na jeograficznym sznurku; — na kanwie historye i podróże, wprawdzie wypłowiałą włóczką robione, ale zawsze była to sobie modna torebka. Jedna mnie tylko rzecz zmartwiła; wystaw sobie pan dobrodziéj, nos ucierała w nauki przyrodzone, i to była taka biédna, mała chusteczka» [1]).

[1]) Uwagi belzebuba, podówczas dosyć sprawiedliwe, do obecnéj chwili zupełnie zastósować się nie dadzą.

(Ciąg dalszy w tomie 5-tym).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.